NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 2150— Mk., z przes. 2470— Mk. Półrocznie 4940— Mk. Rocznie 9880— Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 20., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 50.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 200 Marek.**

Rok XIX. Kraków, 2 września 1922. Nr. 35.

Fatalne skutki lekkomyślności



Porucznik przekonuje się z listu do siebie zaadresowanego, że zamordowany przezeń lichwiarz zwrócił mu, jako prezent ślubny wszystkie jego weksle.

TREŚC NUMERU: Od Wydawnictwa. — Fatalne skutki lekkomyślności. — Przechadzka po Placu Wystawowym „Targów Wschodnich". — Minister sprawiedliwości w Krakowie. — Nowy prezydent Bydgoszczy. — Piętnaście lat po maturze — Zgon króla dziennikarzy. — Wakacye króla hiszpańskiego. — Egzotyczni goście we Francyi. — W pogoni za dolarami. — Z dziedziny aeronautyki. — Z żałobnej kroniki krakowskiej. —

OD WYDAWNICTWA.

Rosnąca w dalszym ciągu z każdym dniem drożyzna wszelkich artykułów i ustawiczny spadek wartości marki polskiej stawiają nas znowu w tem przykrem położeniu, iż musimy podwyższyć i to dość znacznie cenę *Nowości Illustrowanych*. Przy każdej z poprzednich podwyżek postępowaliśmy nadzwyczaj oględnie, licząc się z tem, że większość naszych Czytelników, to ludzie należący do sfery umysłowo pracującej inteligencyi, którym się nie przelewa. Ostatnia podwyżka na 120 marek za egzemplarz, okazała, że opłata prenumeraty i w połowie nawet kosztów wydawnictwa nie pokrywa, minimalny zaś i do tego nie stały dochód z ogłoszeń nie może być brany w rachubę. Wobec tego już w najbliższych tygodniach nosiliśmy się z myślą dalszej podwyżki, nie chcieliśmy jednak naprzykrzać się naszym Czytelnikom i łatając biedę, jak się da, czekaliśmy chwili, gdy i inne wydawnictwa podniosą ceny. Staje się to obecnie, po nowej podwyżce płac dla personalu redakcyjnego, jak i administracyjnego, podrożeniu papieru, cynku, chemikaliów oraz podniesieniu opłat pocztowych o przeszło 50%.

Odtąd numer pojedynczy *Nowości Illustrowanych* kosztować będzie

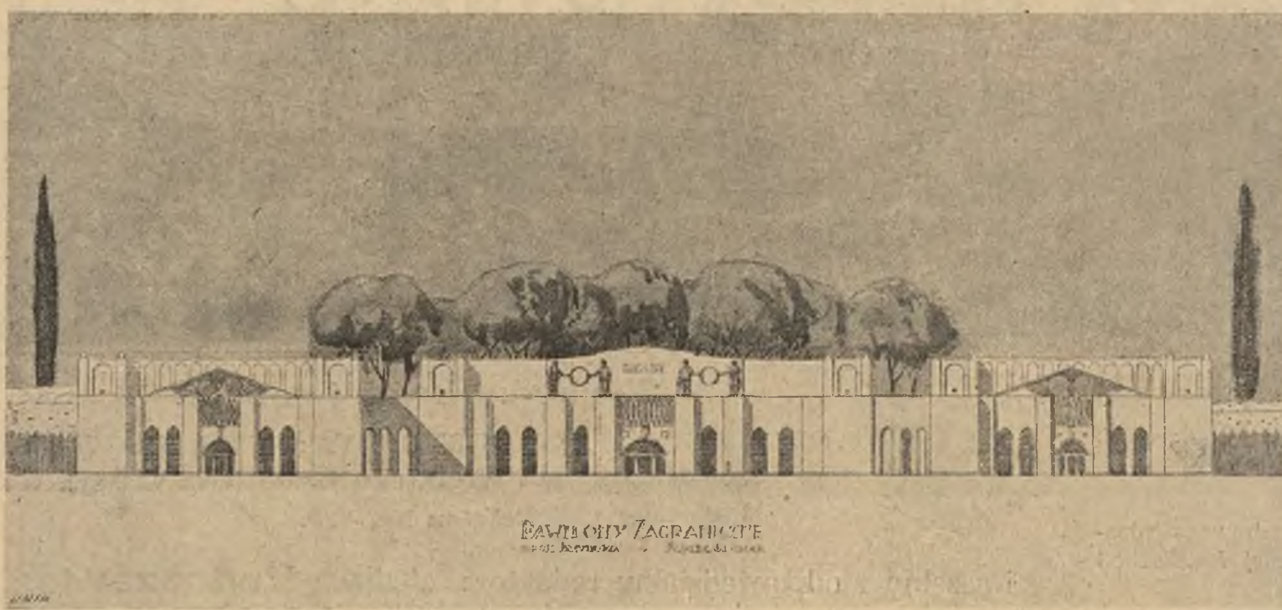
dwieście marek polskich,

w ślad za tem podniesie się też cena prenumeraty, która wynosić będzie:

kwartalnie	z przes. poczt.	**2470 Mkp.**
półrocznie	„	**4940** „
rocznie	„	**9880** „

Podwyżka ta, zupełnie uzasadniona, wydaje się być na oko znaczną, nie jest nią jednak, jeśli się zważy, że pisma codzienne, które przed wojną kosztowały **trzy centy** za egzemplarz, kosztować będą odtąd po **sześćdziesiąt marek**. Gdybyśmy i my chcieli podnosić ceny w tym samym stosunku *Nowości Illustrowane* z szesnastu centów przed wojną, powinnyby kosztować trzysta dwadzieścia marek. Nie czynimy tego jednak, ograniczając się na tej w gruncie rzeczy niewielkiej podwyżce, która ma jedynie pokryć koszta wydawnictwa i uchronić je od deficytu. Aby P. T. Czytelnicy mieli wyobrażenie, z jakiemi kosztami połączone jest w dzisiejszych czasach wydawanie pisma illustrowanego, niechaj Im służy jako dowód, iż przed dwoma tygodniami pewien fotograf amator zażądał od nas za dwa, dość mizerne i niewielkie zdjęcia honoraryum w wysokości piętnastu tysięcy marek, a papier, którego kilogram płaciło się przed wojną centami, dziś kosztuje setki marek i do tego jeszcze dostać go trudno, gdyż krajowa fabrykacya nie wystarcza.

Nie wątpimy, że ogół P. T. Czytelników zrozumie dobrze nasze intencye i położenie bez wyjścia i zechce łaskawie uwzględnić tę podwyżkę, która w porównaniu z podrożeniem niektórych artykułów okaże, że *Nowości Illustrowane* kosztują stosunkowo obecnie zaledwie trzecią część tej kwoty jaką płaciło się za nie przed wojną.



Przechadzka po Placu Wystawowym „Targów Wschodnich“: Projekt pawilonu Zagranicznego.



Przechadzka po Placu Wystawowym „Targów Wschodnich“: „Stand“ propagandy „Targów Wschodnich“ i „Les Amis de Pologne“ na Targu międzynarodowym w Lyonie. Z lewej strony (siedzą): PP. Baruch, J. Rzewuski, Konsul Rzeczypospolitej; (stoją): pp. Andre Stella, redaktor *Lyon Republicain*; Rządkowski, prezes Kolonii Polskiej, Rodański, były prezes, redaktor Paul Berthelet, delegat „Targów Wschodnich“. Po prawej stronie panie: Naude, Rządkowska, Baruch-Rodańska, Rodańska.



Przechadzka po Placu Wystaw. „Targów Wsch.“: Wejście do Panoramy Racławickiej z widokiem na pawilon Leśnictwa i Rolnictwa.

Fatalne skutki lekkomyślności.

(Do illustracyi tytułowej.)

Jedno z miast bułgarskich było w ubiegłym miesiącu widownią tragicznego zdarzenia, które mogłoby być tematem dramatu, tem senzacyjniejszego, iż opartego na rzeczywistości.

Oto młody, elegancki oficer zwrócił się do jednego z tamtejszych lichwiarzy, którego klientelę stanowili w przeważnej części wojskowi, z żądaniem pożyczki sto tysięcy lewów. Stary dusigrosz, postrach swych dłużników, a przecież jedyna ich ucieczka w krytycznem położeniu, wzbraniał się początkowo spełnienia życzenia swego klienta, nie pomagały zaklęcia, że wkrótce poślubi bogatą pannę, córkę swego pułkownika i ureguluje swe zobowiązania. Lichwiarz w odpowiedzi na prośbę oficera zaznaczył, że przedtem powinien zwrócić dawny dług, który wynosił ćwierć miliona. Gdy prośby nie pomagały, młody oficer wyjął z kieszeni browning i rzekł zrezygnowanym tonem:

— W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak tylko śmierć, jest to bowiem dług honorowy, zaciągnięty przy grze w karty. Musi on być spłacony natychmiast, gdyż inaczej grozi mi hańba, a tej nie mógłbym przeżyć...

Ten argument przekonał widocznie lichwiarza, odezwał się bowiem po chwili:

— I cóż ja mam z panem robić!... Ja pana tak szanuję i lubię, choć pan jest taki lekkomyślny... Proszę, oto czek na sto tysięcy, a pan niech podpisze weksel na dwieście tysięcy...

Sprawę załatwiono, oficer zapomniał na kilka dni przy boku swej narzeczonej o swych kłopotach, od czasu do czasu tylko trapiło go pożegnalne oświadczenie lichwiarza, że w przeddzień ślubu odwiedzi go, oczywiście przychodząc po zwrot dłużnej kwoty.

Na nieszczęście narzeczona oficera na kilka dni przed ślubem zapadła ciężko na tyfus, wobec czego termin połączenia się obojga węzłem małżeńskim musiał być odroczony. Niepokój o zdrowie najdroższej zwiększała myśl, co to będzie, gdy lichwiarz w oznaczonym terminie nie otrzyma swej należytości. Przyszłego swego teścia, człowieka sprawiedliwego, ale bardzo surowego, obawiał się ogromnie i przerażało go poprostu, co go czeka, gdy ten dowie się o jego lekkomyślnych długach. Im bardziej zbliżał się dzień płatności weksla, tem stawał się niespokojniejszy i bardziej zdenerwowany.

W oznaczonym terminie zjawił się w mieszkaniu lichwiarza, a gdy ten wyraził zdziwienie z powodu jego przybycia, odpowiedział, że przybył, aby dług spłacić i nagłym ruchem wbił sztylet w jego gardło. Cios był śmiertelny, starzec runął na ziemię, brocząc krwią, on rzucił się ku biurku w poszukiwaniu za swymi wekslami ale tutaj ich nie znalazł, w ręce natomiast wpadł mu list do niego zaadresowany. Rozłamał pieczątkę, z wnętrza wypadły weksle, a na bilecie do nich dołączonym, wyczytał życzenia lichwiarza, który składał je nowożeńcowi, oświadczając, że dla pamięci swego syna, poległego na wojnie, podobnego bardzo do niego, zwraca mu weksle, nie chcąc mu mącić swem jawieniem się tak uroczystej chwili...

Pod młodym oficerem zatrzęsły się nogi, serce jego ścisnęły, jakby żelazne kleszcze, przed oczyma stanęła mu cała ohyda jego strasznego postępku.

W pół godziny potem w kostnicy cmentarnej znalazło się obok siebie dwoje zwłok: młodego oficera i starego lichwiarza.

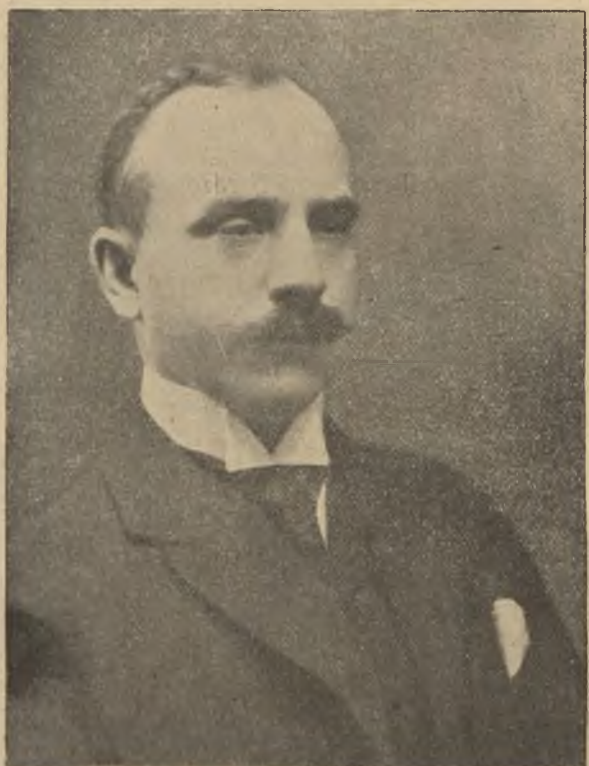
Przechadzka po Placu Wystawowym „Targów Wschodnich“.

W piękny, słoneczny dzień wybrałem się do Parku Kilińskiego, by zobaczyć co „Wielki Lwów“ przygotowuje na święto swego współudziału w handlu europejskim, jak po imprezie zeszłorocznej zabiera się obecnie do II. „Targów Wschodnich“.

Zapewniam, że podczas dwóch lat swej nieobecności w nadpełtwiańskim grodzie, wiele się w nim zmieniło do niepoznania prawie i niestety przeważnie na niekorzyść polskiego Verdun. Centrum państwa i zachodnie jego kresy poczęły się

nami interesować nanowo dopiero w chwili kiedy barwne plakaty pierwszych „Targów Wschodnich“ przypomniały im, że chęci do pokojowej pracy u nas jest wiele i że należy tylko zbiorowo poprzeć te usiłowania, aby Lwów stanąć mógł godnie w rzędzie czynnych ośrodków gospodarczych wśród których należne miejsce ze względu na historyczną jego tradycyę i dogodne położenie geograficzne zająć powinien.

Przyznać trzeba, że samo miejsce pod „Targi Wschodnie“ jest bodaj czy nie najpiękniejszym punktem peryferyi miejskich. Rozległa polana na Stryjskim wzgórzu z którego odsłania się widok na całe miasto, z chełmami wieżyc u stóp przeciwległej Góry Zamkowej z Kopcem Unii Lubel-



Nowy prezydent Bydgoszczy: Dr. Bernard Śliwiński.

skiej w głębi, ujmuje dekoratywnie w ramy naturalnej zieleni dogodny teren, który dźwigać ma odtąd kamienie węgielne naszego handlowego rozwoju.

U samego wejścia po lewej stronie wyrósł w tym roku jak z pod ziemi pawilon administracyjny „Targów Wschodnich“, którego umieszczenie w tem stosownem miejscu umożliwi interesantom zasięgnięcie zaraz na wstępie wszelkich potrzebnych informacyi. Za nieśmiertelnemi Racławicami z obu stron murowanego pawilonu Polskiego Banku Przemysłowego stanęły cztery boczne pawilony w miejsce zeszłorocznych prowizorycznych hangarów. Opodal w sąsiedztwie pawilonu Ziemskiego Banku Kredytowego wzniósł krakowski Bank Małopolski dla eksponatów swoich zakładów fabrycznych przestronną, świetlistą halę, z rzędami wysokich okien łukowych na wszystkich czterech ścianach.

Atrakcyą i nowością tak pod względem planu budowy jak i sposobu rozmieszczenia jest obecny Centralny Pawilon II. „Targów Wschodnich“ wystawiony przez Polskie Towarzystwo Budowlane. Wznosi się na przestrzeni 5400 mtr. kw. zajmie zatem na wystawie pod względem obszaru pierwsze miejsce. Nadano mu kształt półkola, którego boczne skrzydła otoczone są podcieniową kolumnadą, a główny korpus dźwiga w środku kopułę zamykającą perspektywiczną głębię całości. Twórcy



Minister sprawiedliwości w Krakowie: Minister Wacław Makowski (x) w chwili wyjazdu z Krakowa na lustracyę Sądu i Zakładu karnego w Wiśniczu.

projektu nowego centralnego pawilonu, mogą być śmiało dumni ze swego dzieła. Pod względem zrozumienia potrzeb i celów, którym ma służyć, zakrojono go na modłę więcej niż europejską. Poza czystą architektoniczną stroną bowiem podziwiać zaprawdę trzeba zastosowany tu praktycznie system podziału miejsc, przeznaczonych pod

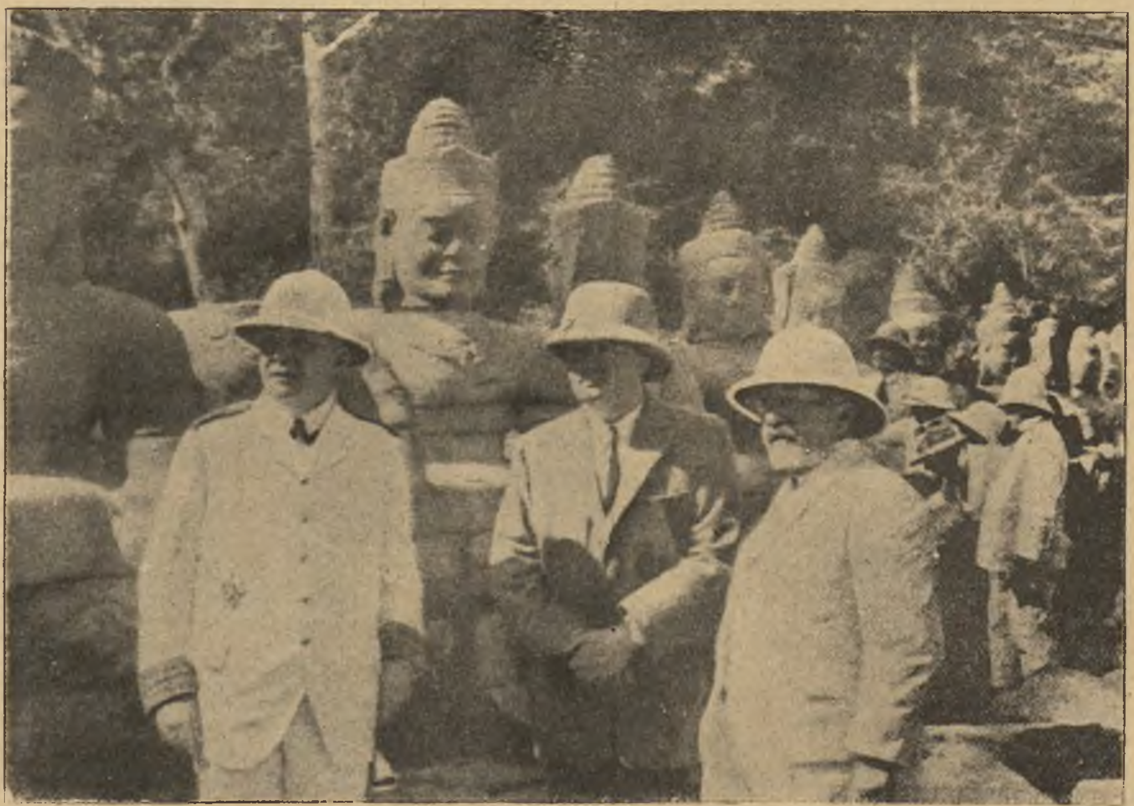


Piętnaście lat po maturze: Uczniowie Gimnazyum podgórskiego, którzy w roku 1907. złożyli egzamin dojrzałości.

poszczególne gatunki eksponatów. Główny korpus budynku obejmuje jednolitą halę, którą zajmie przemysł metalurgiczny, boczne skrzydła natomiast podzielone będą na szereg osobnych zamkniętych oddziałów, wewnątrz zaś półkola staną pod gołem niebem na przestrzeni 5600 mtr. kw. okazy maszyn rolniczych.

Na tyłach pawilonu przy dojazdowym torze kolejowym rośnie jak na drożdżach świeży pawilon firm transportowych „Polbal i Hartwig" z rampami wyładowczemi, które ułatwią dostawę nawet najcięższych eksponatów działu maszynowego.

większym dla pracy i celów ich szacunkiem. Z Jugosławii proponują obecnie urządzenie wystawy afiszów, druków reklamowych, prospektów i wywieszek miejscowości klimatycznych i zdrojowisk Królestwa S. H. S., do której to prośby, spodziewać się należy Zarząd chętnie się przyczyni. Udobruchani rozpoczęciem rokowań o traktat handlowy Niemcy nawołują do stworzenia u nas łącznika dla wymiany handlowej Wschodu z Zachodem, licząc na uzyskanie dogodnych warunków tranzytu. Na jarmarku jesiennym w Libercu (Reichenberg), otrzymały „Targi" osobny pawilon reklamowy,



Zgon króla dziennikarzy: Lord Northcliffe w czasie swej ostatniej podróży na Wschód zwiedza Angkor w Indochinach.

Pozatem w towarzystwie nowego kolosu nie straciły nic zgoła ze swego uznanego już piękna zeszłoroczne pawilony „Nafty" i „Pacykowa", oryginalny ryg naftowy „Dąbrowa" i sympatyczne, wśród pni sosnowych ukryte kioski, zestrajające się z wdziękiem z estetyczną całością wystawy. Z nowych w stylu kapliczki wiejskiej wśród zieleni zbudowany kiosk firmy „Żeleńskiego" nęcić będzie oko barwnymi witrażami.

Nic też dziwnego, że przy tej wytężonej pracy poszczególnych wystawców i samego Zarządu Targów, zagranica i ta z nas tylekroć razy niezadowolona jej opinia, odnosi się do „Targów" z coraz

który przyczyni się niewątpliwie do spopularyzowania ich zagranicą, a na jarmarku w Rydze dzięki zorganizowaniu przez Tow. „Baltic-Pol" osobnego działu polskiego, kupiectwo łotewskie zainteresowawszy się naszym przemysłem, przyjęło zaproszenie na II. Targi lwowskie, z którego niewątpliwie skorzysta. Projektowana przez Poselstwo nasze w Bernie Szwajc. w tym roku wycieczka szwajcarskich przemysłowców i kupców na II. „Targi", znajduje się na drodze pomyślnego dojścia do skutku, a zażyłość stosunków naszych z Francyą i Belgią i życzliwa opinia ich prasy stwierdzają zgodnie, że „Targi" są jednym z wybitniejszych etapów na drodze do odrodzenia polskiego życia gospodarczego, rokują obecnej ich imprezie jaknajlepsze widoki.

Minister sprawiedliwości w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 3).

We czwartek ubiegłego tygodnia przybył do naszego miasta minister sprawiedliwości p. Wacław Makowski, w towarzystwie dyrektora departamentu p. Wyrobka i naczelnika wydziału prezydyalnego p. Königa. Jest to pierwsza podróż inspekcyjna pana ministra od chwili objęcia przezeń urzędowania, a celem jej bliższe zapoznanie się ze stanem małopolskiego sądownictwa i wejście w bezpośredni kontakt z jego przedstawicielami. Dodać należy, że minister Makowski odbył w Krakowie część swych studyów prawniczych.

Po oficyalnem powitaniu na dworcu kolejowym przez reprezentantów sądownictwa i władz administracyjnych udał się pan minister do gmachu Województwa, gdzie zamieszkał na czas pobytu w Krakowie, stąd zaś po krótkim wypoczynku do budynku Sądu Apelacyjnego. Tutaj z prezesem krakowskiej Apelacyi, Wolterem, odbył dłuższą konferencyę, podczas której poruszono najważniejsze kwestye z zakresu sądownictwa małopolskiego, jego potrzeby i niedomagania. Popołudniu zajęły



Zgon króla dziennikarzy: Lord Northcliffe, właściciel i wydawca największych angielskich dzienników.





Wakacye króla hiszpańskiego: Sceny z pobytu króla Alfonsa w Deauville we Francyi (gra w „polo").

RENE BURES.

Zil=X...

30) Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

— Bo miał drogę do ucieczki pewną — prawdopodobnie drabinę, przyłożoną do muru i sposób dalszy ucieczki, przygotowany zawczasu — to jest drzwiczki w parku otworzone. I także dla tej przyczyny, że nie miał nic więcej do czynienia w pokoju kapitana de Limandoux. Chciał go tylko zabić — nic więcej.

Być może, że najprzód wystrzelił raz tylko w pokoju, a potem wrócił się dobić go dwoma następnymi strzałami.

Zdaje mi się jednak, że strzelał przez okno, stojąc jeszcze na ostatnim szczeblu drabiny.

Otóż ten morderca, w dwa dni po zamordowaniu senatora i jego córki, miał jeszcze coś do wykonania. Musiał jeszcze zabić kapitana de Limandoux.

Jakże więc nie przypuszczać, zestawiając te fakty, aby morderca z willi „Bzów" nie był tym samym, który zabił kapitana?

A przedewszystkiem, jakże nie sądzić, że zbrodnie, popełnione na senatorze i pani de Beaumont — nie pociągnęły za sobą drugiej zbrodni: zabicie kapitana?

Jeżeli widzieć więc musimy w zabójstwie senatora i jego córki przyczynę zamordowania kapitana de Limandoux, jasnem się zdaje, że tych ludzi łączyło coś z sobą, że coś, co tyczyło się kapitana, miało związek z napadem na senatora Poivrier.

We willi „Bzów" morderca poszukiwał czegoś, to rzecz dowiedziona. Przyszedł tam w celu żądania czegoś. Do kapitana zaś przyszedł w celu zabicia go.

Doszedłem teraz do punktu, gdzie muszę postawić hypotezę dosyć śmiałą. Jest jednak ona potrzebną. Przekonasz się mój chłopcze, że nagromadzę następnie szereg dowodów, które tę hypotezę wyjaśnią w sposób aż nadto jasny.

Dlaczego ten morderca, który zabija w willi „Bzów" bez wahania, ale i bez poprzedniego przygotowania — dlatego, że porozumienie polubowne pomiędzy nim a senatorem nie doszło do skutku — zabija dobrowolnie, z premedytacyą, kapitana de Limandoux? Na to widzę tylko jedną odpowiedź. Że kapitan musiał znać mordercę, że pomiędzy senatorem a kapitanem była mowa o nim, w końcu, że w rękach senatora były dokumenty jakieś ważne dla mordercy. Jeszcze jedno — morderca zabił kapitana dlatego, iż tenże mógł go podejrzywać, że on to zamordował senatora.

Oto, mój chłopcze, do czego doszło moje śledztwo. Godziło się ono po części z waszem.

Ale kto był ten człowiek, do którego wszystkie nasze wywody dążyły?

Jerzy Dambleuse. To było jasne. Zważywszy jeszcze poważne, obciążające dowody, świadczące przeciw niemu... to jest jego wycieczki nocne tajemnicze i znalezienie jego rewolweru przy zwłokach kapitana de Limandoux. Mówię tu tylko o dowodach namacalnych, bo w tej chwili nie mam zamiaru zagłębiać się w wywody psychologicznej natury. Nie zajmuję się teraz jego sprzecznemi zeznaniami, omdleniem na widok trupa małej dziewczynki, jego dawnemi zaręczynami z panną de Beaumont. To jest literatura. Nie mam potrzeby znać do głębi duszy Jerzego Dambleuse. Chcę tylko wiedzieć, czy jest sprawcą dwóch pierwszych zbrodni.

Jakąż więc mają wartość te dowody, dołączone do dowodów logicznych?

Wyjazdy nocne?

Nie ważne są one dla mnie.

Jerzy Dambleuse powiedział nam, że w noc pierwszej zbrodni wyjechał do Paryża. To jest możliwe.

Ale nie chciał powiedzieć, co robił i gdzie był nocy drugiej. Miał do tego prawo. Mógł robić takie rzeczy, które nie są zbrodnią, o którą go oskarżają i woli raczej stracić głowę, niż wyznać prawdę. Do tego także ma prawo. Do nas należy sprawdzenie. Pozostaje jeszcze rewolwer, znaleziony przy kapitanie de Limandoux. To jest rewolwer Jerzego Dambleuse niezaprzeczenie. A jednakże dowiodłem, dowodem szpilki sosnowej, że nocy tej Jerzy Dambleuse nie był w Bry-sur-Marne, że prawdopodobnie był w Carnetin, w zamku, gdzie znajdowała się dawna jego narzeczona, panna de Beaumont.

A więc, mój chłopcze, jestem zmuszony twierdzić, że Jerzy Dambleuse nie jest mordercą, pomimo dowodów, świadczących przeciw niemu. Co do rewolweru, to pomówię jeszcze o nim. Logicznie więc dalej rozumując, twierdzę, że nie Jerzy Dambleuse jest sprawcą potrójnego morderstwa, odkrytego w willi „Bzów". Proszę zauważyć, że doszedłem do tego odkrycia nie dedukacyami psychologicznemi, ale faktami. Logicznie biorąc, Jerzy Dambleuse nie jest mordercą, pomijając już to, że taki człowiek jak on, nigdyby nim zostać nie mógł.

Muszę jednak, pomimo woli dojść do rozumowań psychologicznych, aby wytłómaczyć uparte milczenie oskarżonego, a szczególnie wyjawić, o ile się da, jakie mogły być te dokumenta, którymi interesował się morderca, pozostawiając w rękach senatora Poivrier, a których treść znaną była kapitanowi de Limandoux. Czy one się naprawdę odnosiły do Jerzego Dambleuse? Jakiejże natury były więc te dokumenta, odnoszące się do Jerzego Dambleuse, mogące interesować lub skompromitować oskarżonego?

Dokumenta te znamy wszyscy. Są to listy, pisane przez Jerzego Dambleuse do dawnej jego kochanki, Zakliny Dubois i portret jej z dopiskiem, ofiarowany oskarżonemu.

Dokumenta te, proszę sobie przypomnieć, skradzione zostały przez pana Rivero Boldavo, cudzoziemca, awanturnika, późniejszego kochanka Zakliny Dubois. Jakim sposobem doszły one do rąk senatora Poivrier?

O tem, nie wiesz zapewne, mój chłopcze — ale ja wiem. Wiem, ale nie mogę powiedzieć, jak i przez kogo o tem się dowiedziałem.

— To, co nie może pan powiedzieć, panie Iggins — wyrzekła spokojnym, poważnym głosem Zaklina Dubois — wyjawić mogę dobrowolnie. Nie lękam się tej spowiedzi wobec Jerzego Dambleuse, który nie jest już moim kochankiem i którego nie kocham już.

— Ah! — szepnął ze zdumieniem pan sędzia Giroux, patrząc ciekawie na aktorkę.

— Te listy i fotografie zostały mi skradzione przez pana Rivero Boldavo, któremu w chwili szaleństwa nieobliczalnego oddałam się raz niestety i który odtąd wpływał na mnie groźbami i przemocą. Ten człowiek ukradł mi je i sprzedał kapitanowi de Limandoux.

— Czy pani jest pewną tego? — zapytał sędzia.

— Przysięgam.

— A czy nie ukradł on jeszcze czego więcej? Nie sprzedał? — badał dalej pan sędzia Giroux.

— Nie.

— Skąd pan Iggins wie o tem?

— Powiedziałam mu to przed moim wyjazdem do Włoch.

— To wystarcza — mruknął urażony sędzia — Może pani usiąść.

Zaklina Dubois usiadła z powrotem.

— Dziękuję pani za jej interwencyę — zwrócił się Iggins do Zakliny Dubois. — Pozwala mi ona opierać się stanowczo na tem, co powiedziałem przed chwilą i uspokoić skrupuły pana sędziego Giroux. Wiemy teraz z wszelką pewnością, że kapitan de Limandoux kochał panią de Beaumont beznadziejnie, skoro ta ostatnia kochała Jerzego Dambleuse i on to wykupił listy rywala, aby je oddać senatorowi Poivrier.

Przypuśćmy więc, że Jerzy Dambleuse wiedział, że te dokumenty były w posiadaniu senatora, a kupione zostały przez kapitana. Ale jak wytłómaczymy tę hipotezę, że on to jest sprawcą potrójnej zbrodni.

Dlaczego Jerzy Dambleuse nie pospieszył najsamprzód zamordować kapitana — a uniósł się tak niewytłómaczoną gwałtownością wobec senatora, który był w tej sprawie listów najmniej winnym?

A przedewszystkiem, jakże przypuszczać można, aby ten człowiek, zimny, zrównoważony, tak panujący nad sobą, mógł zamordować z takiem okrucieństwem starca bezsilnego, jedynie dlatego, że tenże miał w swoich rękach dawne jego listy, pisane do kochanki, co mogło stać się przeszkodą w projektowanem małżeństwie z wnuczką tego starca. Czy nie widzisz, mój chłopcze, że listy te stają się bardzo mało ważne. Jeżeli dalej przypuszczać będziemy, że kapitan de Limandoux wręczył te listy senatorowi w celu zaszkodzenia Jerzemu Dambleuse, to przyznać musimy, że postąpił bardzo nieetycznie i dziecinnie.

Czyż człowiek tak mądry, jakim był senator, mógł mieć żal do Jerzego Dambleuse, który kochał jego wnuczkę, za dawny jego stosunek z aktorką? Nawet panna de Beaumont przyjęła tę wiadomość pobłażliwie. Ten fakt nie wpływał wcale na zerwanie zaręczyn; to nie wpływało na nagłe, przymusowe wywiezienie panny de Beaumont w celu oddalenia jej od Jerzego Dambleuse i na nieprzewidziane jej zaręczyny z kapitanem de Limandoux. Powód był inny. Listy zostawione w biurku senatora Poivrier mają w tym wypadku wartość drugorzędną. A jednak te dokumenta zostały wręczone senatorowi w celu zaszkodzenia Jerzemu Dambleuse.

Ale czy nie wydano senatorowi równocześnie czegoś innego? Co to mogło być? I czy to mogło naprawdę i nieodwołalnie skompromitować Jerzego Dambleuse?

Wiemy, że kapitan de Limandoux kupił i wydał listy senatorowi — możemy go zatem posądzać, że wydał on jeszcze rzecz inną, tak cenną dla właściciel, że odebrać je chciał przemocą, z brzytwą w ręku i że dokonawszy zbrodni, morderca przez ostrożność poszedł jeszcze zamordować kapitana.

Ta ostrożność jest już dowodem.

Przypominasz sobie, mój chłopcze, że w biurku senatora znaleziono oprócz listów świstek papieru, na którym wypisany był numer: 27.002?

Być może, że cyfra ta w ciągu śledztwa nie zastanowiła nikogo. Być może, mój chłopcze, że wydarzenia różne, które nastąpiły później, nie zastanowiły cię i nie wzruszyły, ponieważ miałeś już o Jerzym Dambleuse opinię wyrobioną!

Być może nawet, że gdybyś zauważył, że numer 27.002 odpowiada numerowi wyrytemu na rewolwerze, znalezionym w rękach dawnego szofera Jerzego Dambleuse, fakt ten by cię wcale nie uderzył.

O tym numerze wogóle pamiętano mało, w czasie dochodzeń śledztwa.

Przyznaję, że gdyby nawet pamiętano o nim, to skonstatowanie faktu spotkania się z nim poraz drugi na rewolwerze znalezionym przy szoferze — nie przydałoby się na wiele. Bo jakiż związek mógł istnieć między tym numerem, a numerem rewolweru, który nie był własnością Jerzego Dambleuse, skoro jego rewolwer znaleziono przy zwłokach kapitana de Limandoux.

Trzeba było znaleźć klucz do rozwiązania tej zagadki.

A ja ten klucz znalazłem!

— Co pan mówi! — wykrzyknął sędzia Giroux.

— Tzk, znalazłem — powtórzył Iggins — lecz tu zawahał się, jak gdyby nie wiedział, co mówić dalej.

Patrzałem na niego z gorączkową ciekawością, zapytując się, jak wybrnie teraz z tej drażliwej sytuacyi. Bo chcąc doprowadzić do końca swoje rozumowania, Iggins musiał się przyznać do napadu naszego nocnego na opieczętowaną willę kapitana de Limandoux.

Po chwili jednak Iggins uśmiechnął się, pokiwał głową i dalej mówił powolnym, flegmatycznym głosem:

— Tym kluczem — jest zegarek. Tak, zegarek mały, damski, złoty, który prawdopodobnie był własnością matki kapitana.

Na zegarku tym jest niewielki napis. Ten napis, to klucz znaleziony do odgadnięcia zagadki.

Jakim sposobem dostał się ten zegarek w moje ręce? W bardzo zadziwiający i oryginalny sposób. Lękam się jednak, że tajemnica urzędowa nakaże mi go nie zdradzić. Zresztą to jest rzecz, która nie ma nic wspólnego ze śledztwem. Zegarmistrz, który naprawiał ten zegarek, pozna go bezwątpienia. Tak samo rodzina kapitana de Limandoux.

Wiadomo ci zapewne, mój chłopcze, że na willę kapitana dokonano napadu niedługo po jego śmierci. Złodzieje jacyś poszukiwali tam kosztowności i pieniędzy zapewne i nie zawiedli się, skoro znaleźli zegarek. Ale co myśleć o policyi, która nie mogła przeszkodzić temu napadowi? Wasza policya naprawdę jest bardzo źle zorganizowaną. Ale nie mówmy teraz o tem.

Szczęśliwym dla mnie przypadkiem mogłem odnaleźć ten zegarek i odkupić go.

A więc mój chłopcze, wiesz, co jest wyryte na dnie pudełka tego zegarka? Proszę zobaczyć.

Tu Iggins przeczytał napis, który nas tak długo intrygował:

X = Zil = M.S. = 27.002.

A więc jest to ta sama cyfra, którą senator Poivrier zapisał sobie na świstku papieru i zam-

knął w kasie, zapisał sobie kapitan de Limandoux w pudełku zegarka.

Czy nawet dziecko kilkuletnie nie zrozumie teraz, że senatora z kapitanem łączyły jakieś wspólne tajemnice? Czyż dalej można twierdzić, że Jerzy Dambleuse nie był obznajomiony z tą tajemnicą, skoro równocześnie senator i kapitan działali już przeciw niemu, lub przynajmniej zajmowali się nim wspólnie. Możemy więc przypuszczać, że kapitan de Limandoux, wręczając listy Jerzego Dambleuse senatorowi, wręczył mu równocześnie jeszcze coś innego, jakąś tajemnicę, tyczącą się Jerzego Dambleuse.

Jaka jest ta tajemnica?

Nie będę tu wywodził, całej, kolosalnej analizy faktów, wydarzeń, przypuszczeń, którą wybudowałem pracowicie chcąc dojść do celu. Zrozumiesz chyba, mój chłopcze, że tajemnica ta była ukryta w tym napisie, w tej formułce, zanotowanej przez obydwóch zamordowanych.

Idę dalej.

Kto był Zil? Proszę zauważyć, że ten Zil, interesował lub też groził jednakowo senatorowi i kapitanowi de Limandoux.

Kto więc był Zil?

Ja tego Zila odkryłem.

Przejdę szybko po szczegółach śledztwa, które przeprowadziłem. Muszę jednak dla pewnych przyczyn opowiedzieć różne przejścia tego śledztwa.

Kazałem uważnie pilnować anonse dzienników wszystkich listy poste-restante.

Pewnego dnia zjawił się anons tej treści: — M. S. — prawdopodobnie odrzucona — pojutrze.

Tutaj w grę wszedł przypadek szczęśliwy, bez którego niczby się wykryć nie dało, jeden z tych przypadków tak często spotykanych w życiu ludzkiem. Tym przypadkiem, było spotkanie ajenta Markasa. Znałem go już oddawna. Człowiek ten był mi oddany — oczywiście w granicach dozwolonych mu przez obowiązek fachowy.

Przez niego dowiedziałem się, że nazajutrz miała się odbyć egzekucya dosyć ważna.

Tutaj, znowu muszę pominąć wyjaśnienie, dlaczego przyjaciele moi i ja przypuszczaliśmy, że ten Zil będzie grał jakąś rolę w tej egzekucyi.

Te podejrzenia okazały się słuszne. Zil istniał naprawdę, lub też człowiek jakiś podszywał się pod to imię. Człowiek ten, od lat wielu już obecnym był przy każdej egzekucyi w charakterze pomocnika kata.

Ale tego ranka, wówczas, kiedy już byliśmy na jego śladzie nie zjawił się wcale z pomocą zwykłą. — Znikł niespodziewanie. Dziwna rzecz — prawda? Musiał dowiedzieć się o naszych podejrzeniach.

I jeszcze rzecz dziwniejsza jeszcze; nocy poprzedzającej egzekucyę, pomocnik kata tytularny, który za każdym razem przyprowadzał ze sobą owego Zila, jedyny człowiek znający go — umarł nagle, wraz z żoną i małą córeczką. Zostali otruci...

A więc Zil, ten tajemniczy Zil, którym interesował się tak żywo senator Poivrier i kapitan de Limandoux ten pomocnik kata, którego życia nikt nie znał — znikał nie pozostawiając śladu po sobie.

Co robić?

Byłem bliski rozpaczy. Ale postanowiłem być cierpliwym. Wiadomo, że w międzyczasie, między zbrodnią w willi „Bzów" a zbrodnią w Bry-sur Marne, wydarzyły się różne inne przypadki i tajemnicze fakta: wykrycie zwłok małej dziewczynki w worku, w ogrodzie willi senatora, zniknięcie Elwiry Bourdon, aresztowanie pana doktora Dambleuse, na skutek jego opierania się władzom — w końcu śmierć ajenta Markasa. Do tych faktów powrócę jeszcze.

Trzecia zbrodnia.

— Teraz, mój chłopcze, byłbym w niemałym kłopocie wyjaśnić jak udało mi się na nowo pochwycić pierwszy, przerwany ślad — gdyby nie pani Markas, tu obecna, która mnie zwolniła z zachowania tajemnicy. Dziękuję jej za to szczerze.

Dowiedziałem się więc od niej, że mąż jej Markas, otrzymał niedawno list anonimowy w którym donoszono mu o zniknięciu małej dziewczyki, przy ulicy Rcquette. Data tego zniknięcia zgadzała się po części z dniem wykrycia zwłok dziewczynki w worku w ogrodzie senatora. Przeprowadziłem śledztwo w tym kierunku, przeprowadzone już poprzednio przez Markasa. A więc, doprowadziło ono mnie do tego przekonania, że ten, który uprowadził małą dziewczynkę z ulicy Rcquette — był Zilem. Panna Laplanche tu obecna, wyjaśni to lepiej.

Zastanówmy się teraz nad tą trzecią zbrodnią, nad tą trzecią tajemniczą zagadką; zwłoki schowane we worku i porzucone w ogrodzie senatora Poivrier — miały łączność z dwoma poprzednimi popełnionemi zbrodniami: w willi „Bzów" i w Bry-sur-Marne.

Ale cóż, ten Zil uciekał ciągle przed nami jak ścigany jeleń. Inny wypadek dopiero naprowadził mnie znowu na jego ślad.

Trzeba ci wiedzieć, mój chłopcze, że już od pewnego czasu, Markas był gorliwie śledzony przez moich ludzi. Nie miało to nic wspólnego z naszą sprawą. Miałem swoje osobiste powody do tego, które nikogo poza mnie interesować nie mogą.

Przez trzy tygodnie wszystkie zabiegi i czynności Markasa były wytłómaczalne — prócz czynności jego w pewnym dniu, w którym to spędził trzy godziny w domu przy ulicy Lombardzkiej — dokąd zresztą nie powrócił więcej.

W kilka dni potem Markas umierał nagle w celi starego Dambleuse.

Podaję tu tylko same fakta. Całe zaś spisane dochodzenie tych faktów oraz z objaśnieniami, mam u siebie.

Poszedłem i ja do tego domu przy ulicy Lombardzkiej. Wszedłem do mieszkania. W jaki sposób tam się dostałem, to moja tajemnica. Znalazłem tam dowód niezbity, że było to schronienie Zila — schronienie przelotne... Były tam jego przebrania — przebrania poważnego, uczciwego człowieka, podobne zapewne do tego, które nosi w życiu prywatnem — i przebranie Zila, pomocnika kata... Peruka ruda, ciężka, pospolite obuwie, bluza...

Teraz, mój chłopcze, dochodzę do punktu najdramatyczniejszego w mojem śledztwie...

Bo, choć znalazłem już schronienie Zila, który brał udział w trzech znanych nam zbrodniach, jednakże, nic więcej nie wiedziałem jeszcze. Gubiłem się w hipotezach bez końca.

I oto nagle, w tym pokoju, który przeszukiwałem, wpadł mi w ręce, ten kawałeczek kartonu.

Widzicie co to jest?

To jest bilet kolejowy drugiej klasy, bilet wykupiony do Bonqueval!

A wiesz ty, mój chłopcze, co jest Bonqueval? To wieś, gdzie się znajduje stary zamek ojca Jerzego Dambleuse.

Nie pamiętam, abym kiedy doznał tak silnego wzruszenia jak wówczas, ja, który nie łatwo podlegam wzruszeniom.

A więc Zil miał łączność z Dambleuse'ami. Mówię „łączność". Bo nic mi nie pozwalało jeszcze podejrzywać Jerzego Dambleuse, więcej niż dotąd. Mógł to być zwykły zbieg okoliczności, jeden z przypadków, tak często się pojawiających w tej całej sprawie.

Jakiż mi dowód dawał ten bilet?

Że Zil jeździł do Bonqueval. No, a dalej? A czy miałem w rękach dowód niezbity, że ten Zil był mordercą?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wilia mojego ślubu.

NOWELA.

(Dokończenie).

Zapał wojenny mnie ogarnął, czułem, że serce moje głośniej uderza i przestałem liczyć się z oczywistem niebezpieczeństwem. Życzenie moje spełniło się aż nadto prędko, usłyszałem jeszcze kilka dobitnych, akcentowanych uderzeń, a drzwi z trzaskiem osunęły się z zawias. Odskoczyłem, aby nie zostać przytłoczonym i w tej chwili podnosząc rewolwer w górę, zawołałem groźnie: „Śmierć temu, który się przybliży." Pomimo tego heroicznego wyzwania, jeden z napastników, mężczyzna olbrzymiej postawy, postąpił kilka kroków ku mnie z siekierą podniesioną do strasznego cięcia. Wystrzeliłem, lecz zbójca ukląkł i tym sposobem uniknąwszy niechybnej śmierci, gotował się powtórnie do ciosu. W tej chwili błysnęła mi myśl cudowna i zbawcza; w rogu sali stał wysoki bufet za którym ukrywszy się mogłem śmiało bronić się dosyć długo. Wykonałem powzięty zamiar szybko i zręcznie i zanim się zbójcy spostrzegli, już byłem w bezpiecznej warowni. Teraz chodziło tylko o to, aby nie zmarnować niezaprzeczonej korzyści, którą uzyskałem przez mój podstęp wojenny i bronię się skutecznie, zanim pomoc spodziewana, co chwila, nadejdzie. W pierwszej chwili walki byłem pod wpływem niezwykłego szału i byłbym zamordował jak psa każdego z napastników, teraz nagle owładnęło mną dziwne, tęskne uczucie: „ja w wilią swojego ślubu miałbym się stać mordercą i krwią zbroczoną rękę ofiarować mojej narzeczonej!"

Wskutek tej refleksyi z pozycyi zaczepnej przeszedłem w odporną i skierowawszy lufki mojej strzelby ku otworom bufetu zagroziłem śmiercią każdemu z usiłujących takowy usunąć lub powalić. Broniłem się w ten sposób czas dosyć długi, lecz spostrzegłem, że siły moje słabną, że mi pozostaje albo samemu zginąć albo wrogów moich wystrzelać. Co do tej ostatniej alternatywy miałem do niej wstręt nieopisany; byłem więc w strasznej pozycyi, śmierć własna pozbawiała mnie wszystkiego i czyniła moją narzeczoną nazawsze nieszczęśliwą, śmierć zbójców dokonana przezemnie przedstawiała mi się jak ponury cień rzucony na wieki pomiędzy mną a Olusią. A pomoc nie nadchodziła, a mnie siły opuszczały z każdą chwilą, czułem, że za moment upadnę wyczerpany na kamienną posadzkę salki, a co potem się stanie na myśl tę zamykałem oczy z przerażenia. Okropny wybuch śmiechu, w którym odbiły się dźwięki prostaczego i na pół dzikiego tryumfu, przyprowadził mnie do przytomności. Korzystając z chwilowego osłabienia swego przeciwnika zbójcy położyli się na ziemię i w ten sposób podstąpiwszy pod bufet teraz ciągnęli takowy wszelkiemi siłami na przód. Zrozumiałem, że jestem zgubiony, lecz czułem zarazem, że pierwszy mój zapał i energia powróciły w zupełności, więc gotowałem się drogo sprzedać życie i szczęście, które mi los tak okrutnie i tak bezwzględnie wydzierał. Niewiem, czy wzrok mój iskrzący, czy bohaterskie postanowienie, widniejące z mojej postawy tak zaimponowały zbójcom, dość że niespodziewanie zachwiali się i po krótkim namyśle uciekli. Odetchnąłem swobodniej, a nieopisana swoboda i duma ogarnęły moją duszę. Niewiem czy Napoleon w dniu najświetniejszych swoich zwycięstw czuł się tak wielkim, jak ja owej pamiętnej nocy, w wilią mojego ślubu. Łudziłem się jednak; zbójcy mieli słuch wprawniejszy od mego i to, co ja dopiero teraz usłyszałem, oddalony świst lokomotywy skłonił ich do ucieczki. Posmutniałem trochę, lecz uczucie zupełnego bezpieczeństwa ukołysało powoli moje samolubne niezadowolenie z rezultatu walki i radość ze sławy bohaterskiego zwycięzcy zamieniło na błogie uczucie spokoju i ufności. W pięć minut potem ojciec mojej narzeczonej i moja kochana, odważna Olusia byli przy mnie. „Od tej chwili już nie opuszczę cię aż do śmierci", mówiła mi płacząc i śmiejąc się zarazem, a ja, z serdecznym wyrzutem ganiłem jej narażanie się na niebezpieczeństwo. „Byłabym tam skonała ze strachu, a ty robisz mi wyrzuty, że nie chciałam umrzeć w wilią naszego ślubu, niedobry!" dokończyła z figlarnym uśmiechem a ja nie mogłem się oprzeć urokowi jej słodkiego głosu. Wkrótce nadszedł mój przyszły teść, założywszy poprzednio sprawę z mniemanym nieboszczykiem, kłóego kazał odstawić do sądu w pobliskiem miasteczku. Wyszliśmy razem na werandę naszego domku, gdzie doczekaliśmy ranka w uroczystem, pełnem skupienia i cichego szczęścia milczeniu. Daleko za borem błysnęły pierwsze promyki wschodu i oświeciły najpiękniejszy dzień naszego życia, będący zarazem przepowiednią długiego szeregu dni podobnych. Minęły tygodnie, miesiące i lata, a ja z moją Olusią jesteśmy zawsze równie szczęśliwi, a na tajemniczy klucz telegraficzny, którego ostrzeżenie pozostało dla nas na zawsze zagadką, patrzymy jak na szanowną relikwię, przypominającą mi drogie słowa mojej dzisiejszej żony: „Gdybyś był w niebezpieczeństwie ja cię ostrzegę i obronię".

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.
(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

21)

Jakiś marny człowieczek przypomniał sobie, gdzie mieszkał Piotr, adres jego podał z całą dokładnością, tylko nie mógł określić, kim był Nelin.

Alferowa nazwisko podał zaraz, z objaśnieniem, że to wielki kupiec, a jeśli nie kupiec, to w każdym razie ogromny bogacz. Kobiet nie znał.

Zato jakaś dziewka zapewniła, że mieszkała na tej samej ulicy, co obie kobiety, ale nic o nich nie wie, i tylko je dobrze pamięta z widzenia.

Inni ludzie nie dawali wyjaśnień, mimo, że Alferow od pierwszej chwili był pewnym, że ci właśnie wiedzą, kto on i że mogliby o wszystkich powiedzieć najwięcej.

Potem jeszcze jakiś żołnierz, ujrzawszy kobiety, poznał je odrazu:

— To ta waryatka — rzekł do Maryi, wskazując na Izę. — Prawda, to ona zamordowała Czarnego Dyabła... A wy mnie pamiętacie? mieszkałem w waszym domu...

Kobiety nie odpowiadały nic, a ryży ucieszony jął wypytywać żołnierza.

Wreszcie izba się opróżniła. Ryży wyszedł ostatni i na klucz ją zamknął, zostawiwszy czworo nowych więźniów.

Minęła godzina. Drzwi się otwarły. Weszła jakaś dziewka i w sposób prostacki kazała wejść Maryi za przegrodę na końcu izby. Poszła tam za nią, kazała jej się rozbierać i odbywała szczegółową rewizyę.

Kilka razy zostawiała ją, gdzieś wybiegała, głośno z kimś rozmawiała za drzwiami, wreszcie wróciwszy, kazała się Maryi odziać i wypchnęła ją.

Przyszła kolej na Izę. Gdy wchodziła za przegrodę, dziewka wyprowadziła Maryę z izby i oddała ją w ręce jakiejś swojej pomocnicy. Piotra zaś z Julianem odwołał jakiś żołnierz do rewizyi w sąsiedniej izbie.

Iza, obnażona, ze spokojem dawała sobie rozplatać włosy, w których rewidentka brutalnie szukała rzeczy rzekomo ukrytych.

— A jakie to twoje ciało delikatne — śmiała się na widok sinych i krwawych śladów biczowania.

Wzięła potem jej rzeczy, rozpruwała, targała, gdy ryży wszedł do izby i zakrzyknął na nią:

— Wynoś się precz!

Dziewka, rzuciwszy pod stół rewidowaną bieliznę, wybiegła z ordynarnym śmiechem, gdy zbir wszedł za przegrodę.

Iza chciała pośpiesznie sięgnąć po okrycie, lecz między nią i jej rzeczami stał on z harapem w ręce.

Na widok krwi na jej nagiem ciele, wykrzywił usta rozkoszującym się uśmiechem sadysty i w górę uniósł biczysko, by z zadowoleniem wziąć się do chłosty.

Lecz w tej chwili oczy Izy przeszyły go na wskróś...

Ręka z harapem opadła.

Ryknął dziko, zatoczył się pod ścianę, a potem rzucił do ucieczki. Lecz zaledwie drzwi uchylił, runął na podłogę i zaczął rzęzić boleśnie.

Przyskoczyli do niego jacyś ludzie, zaczęli rozrywać mu na piersi ubranie, bo sprawiał wrażenie, że się dusi... Ale rychło zauważono, że się uspokoił i zastygą.

Nad trupem robiło się wielkie zbiegowisko, a tymczasem ktoś ze straży wyprowadził Izę, Maryę, Piotra i Juliana z baraku śledczego, poprzez długie dziedzińce, aż na drugi koniec obozu, gdzie wskazano im barak na mieszkanie.

Piotr idąc pomiędzy barakami, przypomniał sobie Zygmunta, który mu opowiadał o swojem życiu w obozie jeńców w pierwszych latach wielkiej wojny.

Od owego czasu dla Piotra wyobrażenie obozu łączyło się zawsze w myślach z opowiadaniem Zygmunta o strasznej epidemii tyfusu, którą tam przeżył, patrząc, jak dwie trzecie jego towarzyszów wymarły... a trupy ich przez długie miesiące zimy zapełniając osobny barak olbrzymią piramidą ciał zamarzających, utworzyły grobowiec, jakiego wizya nękała wiecznie Zygmunta... a później Piotra... i przypominała mu się często w jego halucynacyach w gorączce tyfoidalnej.

Teraz, mijając baraki w tym obozie cywilnych zakładników, więzionych przez rząd czerwonych tyranów, nie mógł się opędzić dawnym wspomnieniom i podzielił się niemi ze swymi towarzyszami.

Pod takiem wrażeniem wchodzili do baraku, napełnionego przymusowymi mieszkańcami...

Kiedy weszli do środka, już tam wszyscy wiedzieli, że Iza obroniła się w jakiś zagadkowy sposób przed ryżym, który od niej uciekając, padł trupem.

Ryży był całego obozu postrachem i uwolnienie się od tego kata stawało się wielką dla wszystkich ulgą. Witano więc Izę z wielkiem uszanowaniem i z ogromną ciekawością.

Mieszkańcy tego baraku należeli do sfer podobnych jak nowi przybysze.

Ale Iza, którą się wszyscy tak zainteresowali, usunęła się na bok i zatopiła się — nie wiedziano — w rozmyślaniach, czy modlitwie.

Jej towarzysze też milczeli przy niej, mało odpowiadając na pytania nowych współlokatorów baraku.

A stał ten barak nad samym brzegiem jeziora.

W obrębie obozu mieli jaką taką swobodę i w pobliżu swego baraku krążyć mogli niczem nie krępowani. Toteż Marya, korzystając z tego, coraz dłużej przebywała na dworze, ciągle podchodząc do brzegu i wystając nad wodą.

U jej stóp toń była potworna... czarna... grozą zionąca.

Ale ją właśnie to pociągało. Doznawała coraz większej ulgi, wpatrując się w jezioro.

Chwilami wzrok jej biegł daleko po fali, kędyś na drugą stronę, gdzie o świcie wobec nich rozegrała się wielka tragedya.

Uszy jej pełne były tego wielkiego płaczu tłumu głodnych.

Przypominała sobie głos duchownego górujący tonem ekstazy nad modłami rzeszy.

Odżywały w niej echem nieludzkie krzyki w ciżbie, w chwili, gdy pierwsza gromada topielców rzuciła się w wodne odmęty, a ta reszta z brzegu miała pójść w ich ślady...

W ich ślady... szeptało coś dokoła Maryi. Im wszystkim było źle... Może im gorzej w tej chwili, gdy są już tam... Lecz nie cierpią już tu... nie męczą się tu dłużej.

Wszak gdyby pójść w ich ślady, przestałoby się patrzeć na mękę życia tem okiem, które musi się łzawić...

Może stamtąd patrząc, miałoby się inne siły, by patrzeć nie przez łzy... i bez kurczu w własnem sercu.

Zresztą ja się nie boję odejść tam, dokąd oni poszli poprzez tę otchłanną ciemnię toni jeziora.

Jabym przecież pragnęła tam się znaleźć... Tam, gdzie Paweł...

Ale na tę myśl jednak jakiś dreszcz wstrząsał ciałem Maryi i odwracała się od czarnego stawiska... od przepastnych lasów dokoła obozu... od tych wysokich płotów kolczastych, co go zewsząd zamykały... i wracała do wnętrza pełnego zaduchu baraku.

Była zupełnie wycieńczona głodem, chłostą i wrażeniem przejść ostatnich. Więc jak cień snuła się, mijając obcych ludzi, by dojść do kąta, w którym zamieszkała ich czwórka.

Godziny mijały, a Iza leżała bez ruchu. Jeszcze nikt z nich nie widział jej w tym stanie.

Dusza jej wyraźnie odbiegła daleko... a ciało czeka sennie na jej powrót...

Piotr siedział przy niej z utkwionym w nią wzrokiem.

Julian twarz miał ukrytą w dłoniach.

Wróciła do nich Marya znowu i przysiadła cicho przy nogach Izy. Wpatrzyła się w Piotra, który jej nie widział i zastygła w swoim bólu.

Na sali była wrzawa, ale w ich zakątku cisza.

Tak zapadł wieczór.

Marya wstała, znowu wyszła... Jeszcze się raz obróciła, przystanęła... i przez nikogo nie obserwowana... długo trzymała spojrzenie na głowie Nelina... poczem powoli, opierając się po drodze o wszystko, szła na dwór.

Wilgotny chłód owionął ją za progiem. Oparła się plecami o ścianę baraku. Powietrza w pierś nabrała. A potem chyłkiem sunęła popod ścianą ku wodzie.

Ciemno. Nigdzie nie było nikogo. Zatrzymała się na brzegu.

Myśl jej na chwilę uleciała daleko... na jasny brzeg... cały słońcem zalany i fiołków wonią owiany... Tam, kędy kwitły lata jej dzieciństwa...

Tam, kędy pożegnała ojca, którego by już miała nigdy nie widzieć...

Tam, kędy poznała miłość... i Pawła.

Coś ją mocno za serce ścisnęło i pół głośno jęknęła:

— Pawle!

I za głowę się chwyciwszy oburącz, zbiegła ku toni czarnego jeziora.

Już miała ją pochłonąć topiel, gdy nogi Maryi wryły się w brzeg.

Oczy jej otwarły się szeroko, ręce wyciągnęła przed siebie.

Cicho, spokojnie powtórzyła:

— Pawle...

W pierwszem okamgnieniu uwierzyć nie mogła... Lecz tak... Paweł stoi przed nią.

— Więc ty mnie kochasz, Pawle?

A wtedy zamiast słów, uczuła na czole pocałunek chłodny, dziwnie żar w niej kojący.

Uczuła miękkich ramion dwoje, które ją oplotły, tuląc do piersi.

I wszystek ból... i wszystek żal... pod tym uściskiem ulatał... i pierzchał...

A w sercu rozpływała się jakaś słodycz, od której robiło się dziwnie dobrze.

Po całej istocie Maryi rozchodził się spokój... niby balsam krzepiący, co wszedł w krew i wszystkie żyły opływa.

— Pawle — powtarzała bez końca, a głos jej drżał taką miłością, która daje szczęście.

I cała niechęć do życia w męce... i cały lęk przed głodem... zimnem... chłostą... i poniewierką... wszystko naraz rozwiało się wraz z wizyą jasną jej Pawła nad mroczną tonią jeziora.

A w duszy Maryi w pośród nocy zrodziła się moc wytrwania... i pragnienie połączenia się trwałego mistycznym węzłem z duszami swoich najbliższych towarzyszy niedoli.

Prawie biegła z powrotem do baraku, niekiedy tylko słaniając się i potykając.

Z płaczem rzuciła się na Izę i w tym płaczu błagała ją... i Piotra... i Pawła... o przebaczenie, że chciała zwątpić, że chciała upaść... wtedy, gdy Edward i Klaudya kazali mocnymi być i nie upadać.

XX.

Zmiana warty w obozie dała powód do opowiadań o czarownicy, która przyjechała własnym automobilem, a moc ma niezwykłą, bo są między żołnierzami tacy, co ją pamiętają, jak w jakiemś więzieniu zgładziła czarnego dyabła.

Wszak ledwie się tutaj zjawiła, już uśmierciła czerwonego czarta.

Słysząc to z ust do ust między strażnikami podawane, pokiwał głową siwy człowiek z dużą brodą w długiej sukni, siedzący na progu baraku, i do paru starców, koło niego stojących, szepnął:

— Gdyby to tak naprawdę!... Gdyby jej się udało temu wielkiemu prawdziwemu czartowi czerwonemu głowę urwać... Ale już tak, żeby mu nowa nie odrosła... Gdyby... A wszak w naszych księgach jest o tem, że niewiasta z sercem gorejącem na proch zetrze łeb dyabłu, który świat zatopi w czerwonej kąpieli.

Do ostatniego baraku nad brzegiem jeziora wszedł strażnik, zluzowawszy poprzedniego i od progu zapytał:

— Gdzież to są ci, którzy do obozu przyjechali własnym automobilem?

Starsi tego baraku lokatorzy bardzo się uradowali na widok nowego strażnika.

— O jak to dobrze, że to ty, Michale. Dawno u nas nie miałeś straży. Tamte... to takie wściekłe psy.

— Jam był gorszy — mruknął żołnierz, okazały jak grenadyer.

— Co ty też gadasz, Michale! Niema drugiego poczciwszego od ciebie.

— No, niechże ja oglądam owo dziwowisko, o którem tyle słyszę. Gdzieżeście swoich nowych kumów umieścili?

— A gdzieżby, Michale... Innego kąta nie było, jak tam, pod oknem, gdzie się w tych dniach opróżniło po tej rodzinie, co ją stąd cholera wymiotła.

Strażnik szedł na drugi koniec długiego baraku, wszędzie mile widziany, bo chociaż był tu niedawno na służbie, a już go wszyscy spamiętali i polubili.

Kazał nowym więźniom wstać, by ich mógł obejrzeć i spamiętać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Wakacye urzędowo już się skończyły, z niemi skończyła się szczęśliwie kanikuła, co zaś najważniejsze, minął także i sierpień, a z zapowiedzianych siedmdziesięciu wulkanów pod Budapesztem dotąd ani jeden nosa na światło dzienne nie wystawił. Stało się to, jak nas informuje nasz korespondent, skutkiem stanowczej postawy, jaką w tej sprawie zajęła mała ententa, która sprzeciwiła się kategorycznie podobnemu forytowaniu Węgier ze szkodą państw sąsiednich. Odniesiono się do Lloyda Georgea, który imieniem Rady Najwyższej zadecydował, że poruszy sprawę wulkanów na jej najbliższem plenarnem posiedzeniu i dołoży wszelkich starań, aby obdzielono nimi równomiernie wszystkie państwa środkowej Europy. Przyczyni się to do złagodzenia biedy węglowej, jaka przy nadchodzącej zimie grozi znowu Europie. Prawdopodobnie choćby ze dwa wulkany dostaną się wówczas Polsce i dlatego nasze władze miejskie nie zaprzątają sobie zbytnio głowy sprawą opałową, a miejski skład drzewa na Warszawskiem odpoczywa, choć powinien zawczasu robić zapasy, aby mieszkańców nie skazywać na wyzysk ze strony drzewnych paskarzy.

Kwestya tylko, czy bodajby jeden z tych przyznanych nam wulkanów dostanie się w okolice Krakowa, czy też wszystkie zagarnie dla siebie Warszawa, wychodząca stale z założenia, że bliższa koszula ciała, niż kamizelka. Nie wątpimy, że prezydent Nowak, którego z naszem miastem wiążą tak blizkie stosunki, nie pozwoli nas skrzywdzić.

Nie dziwi nas bynajmniej, że miejskie sfery decydujące niezbyt troszczą się o podobne głupstwa, jak opał dla mieszkańców, już choćby z tego tylko powodu, że polska jesień powinna być wedle przysłowia piękna, a zatem i ciepła, w okresie przedwyborczym i bez węgli i drzewa będzie zresztą gorąco, po wyborach zaś grzać się będziemy nadzieją, że zima niedługo się już skończy, a obserwatoryum astronomiczne pocieszy nas, iż skutkiem zmienionego nachylenia osi ziemskiej w grudniu i styczniu nie są wykluczone nawet i upały.

Na pierwszy plan wysuwa się obecnie sprawa wyborów do Sejmu i Senatu, w prasie politycznej rozpoczęła się już walka podjazdowa i wzajemne ostrzeliwanie się stronnictw, poza frotem zaś dokonuje się przegrupowanie. Nad wyszukiwaniem kandydatów nie potrzebujemy sobie łamać niepotrzebnie głowy, nowa ordynacya wyborcza dopuszcza bowiem tylko kandydatów partyjnych, ludzie, stojący poza stronnictwami, choćby nawet najzdolniejsi i najbardziej zasłużeni, muszą pozostać w cieniu. Jak dotąd, nie doszło jeszcze do naszej wiadomości, aby obywatele wyborcy wzięli się gdzieś poważniej za łby, a prawdopodobnie podziała na nich chłodząco energiczne wystąpienie ministra spraw wewnętrznych Kamińskiego w sprawie komendantów policyi państwowej w Krakowie i w Mławie, którzy, z powodu nienależytego pełnienia swych obowiązków są w drodze na „zieloną trawę". Ten krok ministra wpłynie dodatnio na rozbudzenie energii władz policyjnych, co przyczyni się bardzo dodatnio do uregulowania stosunków bezpieczeństwa publicznego w okresie wyborów. Gdyby tak jeszcze nasi stróże porządku publicznego zechcieli energiczniej zabrać się do tępienia bandytyzmu, który rozhulał się w niemożliwy sposób na całym obszarze ziem polskich, mogli byśmy spać spokojnie.

Kronikarz, jako należący jedynie do stronnictwa „Gołej Demokracyi". urzędowo dotąd nie uznanego, o zaufanie współobywateli ubiegać się nie będzie, nie poskąpi przecież swego poparcia żadnej kandydaturze, która na to sobie zasłuży. Na razie swych protegowanych jeszcze niema, niewątpliwie jednak zgłoszą się oni już w najbliższym czasie, skoro tylko ustalą się „platformy", jakie wobec wyborów zajmą poszczególne stronnictwa.

Tymczasem główną jego troską stanowi zestawienie listy z dwunastu najsławniejszych osobistości w Polsce, aby mózg stanąć do plebiscytu urządzonego przez redakcyę *Kuryera Illustrowanego*. W jego biegu okrężnym z powodu reumatyzmu udziału wziąść nie mógł i złotego puharu tem samem nie zdobył, nie wątpi jednak, że obecny plebiscyt okaże się dlań łaskawym. Jak się zdaje, będzie to od chwili utwarzania samodzielnej Polski pierwszy plebiscyt, który nie będzie miał niepożądanego rezultatu, co najwyżej obudzi trochę kwasów u tych, którzy na liście uznanych wielkości się nie znajdą, choć, wedle ich własnego przekonania, słusznie się im to należy. Mieliśmy dotąd premiowane byki i koguty, konkursowe piękności, obecnie przybędą nam „plebiscytowe wielkości", stojące na równi z poprzedniemi.

Niechaj jednak nikt kto nie myśli przypadkiem, że takie ułożenie listy wielkich ludzi z całej Polski jest czemś łatwem. Dobrze trzeba sobie głowę nakłopotać, aby uczynić należyty wybór, nikogo nie pominąć, nikogo niepotrzebnie nie wysunąć, aby mu tem samem w głowie nie przewrócić, co zaś najważniejsze, aby otrzymać nagrodę. Od trzech dni przy pomocy Przewodnika adresowego krakowskiego i listy abonamentów telefonicznych układa ów zespół i doszedł dotąd do przekonania, że w samym Krakowie śmiało można naliczyć czterysta siedmdziesiąt sześć wielkości pierwszorzędnych, tysiąc trzysta jedenaście drugorzędnych, a siedm tysięcy dziewięćset dwadzieścia trzeciorzędnych. I jakże tu wybrać z tego tylko dwunastu, aby innych nie obrazić. Zresztą to dopiero Kraków, a gdzież Warszawa w której co drugi człowiek jest wielki, a nawet jeszcze większy, i inne miasta, gdzie wielkości również nie brak. Z pierwszej próbki, ogłoszonej w piątkowym numerze z ubiegłego tygodnia przez *Kuryera* dla zachęty uczestników plebiscytu, widzimy, że brane są tam w rachubę wielkości nie tylko pierwszo, drugo i trzeciorzędne, ale nawet i czwartorzędne, które z pewnością same się zdziwiły, spotkawszy tam swe nazwisko.

Ale przyznać trzeba, że *Kuryerek* urządził się bardzo sprytnie, aby podtrzymać swą popularność i powiększyć swój nakład. O popularność rozchodzi mu się ze względu na zbliżające się wybory, pooniesienie nakładu jest dążeniem każdego wydawnictwa. Ludzie są tylko ludźmi i jakiś pan Gwizdakowski lub Podskakiewisz, znalazłszy raz na liście wielkości swe nazwisko bodajby z jednym tylko głosem, odtąd codziennie kupi *Kuryera*, aby się przekonać, czy też i inni poznali się na nim, a chociaż na ostatecznej liście uznanych przez ogół wielkości z nazwiskiem swem się nie spotka, zachowa w swem się nie spotka. zachowa w swem sercu głęboką wdzięczność dla wydawnictwa, dzięki któremu dowiedział się szerszy świat o jego egzystencyi, poprze też przy wyborach stawianych przez nie kandydatów. Rok temu jeszcze wstecz spotykaliśmy się na łamach *Kuryera* z zupełnie nieraz słuszną krytyką polityki „Paskopiastów", jak stale nazywano członków partyi Witosa, z chwilą, gdy pan naczelny redaktor po politycznej śmierci Dr. Bardla objął po nim spuściznę, ton „owego najpoczytniejszego organu" zmienił się w cudowny sposób. Narzekania na to, jak wieś dybie na szkodę miast i inteligentów ustały zupełnie, na pierwszy plan wysunęli się członkowie prawicy P. S. L, którzy nagle stali się w Polsce najważniejszym w państwie państwowo-twórczym elementem. Datuje się to od chwili, gdy poseł Maryan Dąbrowski zgłosił akces do stronnictwa ludowego, którego tendencye wydawały mu się najlepsze z tych wszystkich do jakich dotąd należał.

Ale zbliżają się nowe wybory, wytrawny strategik i doświadczony taktyk stara się o to, aby sobie zabezpieczyć tyły, niech zatem nikogo nie dziwi, że *Kuryerek* przypomniał sobie znowu o inteligentach i poświęcił ich biedzie bardzo ciepły i za serce chwytający artykuł. Ubolewa nad ich nieszczęsnym losem, który każe im przymierać głodem, wiedząc o tem, że to dla każdego najczulsza strona i że drogą na żołądek najłatwiej sosie zdobyć serce. A głosy inteligentów mogą wiele zdziałać, ci zaś gotowi uwierzyć, czytając to w organie ludowym, iż ludowcy nagle zapałali miłością ku mieszczuchom, bo wiadomo, że nie tylko miłość cudy czyni, ale także i wybory potrafią to samo.

W ścisłym związku ze zbliżającymi się wyborami pozostaje podrożenie wyrobów masarskich, między innymi i kiełbasy wyborczej, należącej u nas do najskuteczniejszych środków agitacyjnych. Nad tą sprawą łamaliśmy ręce i lali gorzkie łzy w poprzednim numerze, żywiąc nadzieję, że władze wezmą nas w obronę i potrafią jakoś wpłynąć na panów masarzy, aby mieli litość nad naszymi coraz bardziej kurczącymi się żołądkami. Zaznaczaliśmy, że na ten temat odbyły się liczne konferencye, na których masarze dali się jakoś ułaskać i przyrzekli poprawę. Ogłoszono nawet nowy cennik ich wyrobów, z którego dowiedzieliśmy się, że kiełbasa zwykła siekana kosztuje coś nie wiele poniżej dwa tysiące marek za kilogram, w każdym razie mniej, ale kronikarz dokładniej ceny przypomnąć sobie nie może, a odnośny numer gazety, jakby na złość, użyła pani Weronika do wiadomego celu. Ale pokazuje się, że cennik, choćby nawet zatwierdzony przez władze, swoje, a masarze swoje, bo obecnie płaci kronikarz za ćwierć funta najzwyklejszej kiełbasy, której kilogram kosztował dawniej osiemdziesiąt centów, trzysta marek. Przyznać trzeba, że jest to cena niższa niż kilka dni temu wstecz, gdy za tą samą ilość zapłacić musiał trzysta siedmdziesiąt pięć marek. Obecnie cenę zniżono, wynosi ona jednak w każdym razie za kilogram dwa tysiące czterysta marek, stoi zatem w sprzeczności z cennikiem. Ma się przynajmniej tę satysfakcyę, że masarz lituje się nad nieszczęsną dolą pożeraczy kiełbas i spogląda na wchodzących do jego sklepu ze współczuciem, witając każdego stereotypowem: „A, to panie łaskawy, straszna drożyzna!...", skórę drze jednak z gościa bez litości.

Ponieważ lekceważenie zatwierdzonych przez władzę cenników stało się u nas czemś zupełnie zwykłem i trapi ludność, logicznem następstwem tego powinno być zwracanie odnośnym władzom uwagi na każdy dostrzeżony fakt niestosowania się przez sprzedającego do cen, urzędowo unormowanych. Ale w tem właśnie sęk, że na podobny krok rzadko kto się odważy, bojąc się zemsty sprzedających, którzy gotowi go zbojkotować i skazać tem samem na śmierć głodową. Są to przeważnie panowie bardzo butni, jak każdy, kto czuje pieniądze w kieszeni, a piękny przykład, jak się traktuje gości, upominających się o swe słuszne prawa dał ów kawiarz, który jednemu z krakowskich mecenasów w sposób aż nadto dotkliwy wyrazić raczył z tego powodu swe najwyższe niezadowolenie. Wobec naszych prześladowców jesteśmy zatem bezsilni, sprawą tą zająć się powinny kompetentne władze i rozsyłać po mieście swych wywiadowców, ale oczywiście nie takich, których charakter służbowy każdy zna, a co jeszcze gorsze, takich, którzy z odnośnymi przemysłowcami pozostają w przyjacielskich stosunkach i niby patrzą uważnie, co się wokoło nich dzieje, ale z zasady nic nie widzą.

Odwiedziny ministra sprawiedliwości Makowskiego w Krakowie i jego konferencye z przedstawicielami sądownictwa, podczas których wzywał ich do ścisłego przestrzegania ustaw karnych, dodają nam otuchy, że przecież może doczekamy się bodajby takiego porządku, jaki był przed wojną. Narzekaliśmy wówczas, że władze, austryackie, nie zawsze chcą nas brać w obronę przed różnymi prześladowcami, z bólem serca przyznać jednak musimy, że po uzyskaniu samodzielności znaleźliśmy się w tym kierunku w daleko gorszych warunkach, a pasek choć niby przez odnośne władze tępiony, zaciska się coraz bardziej i tchu złapać nie pozwoli. Wezwanie pana ministra, aby ustawy karne stosowano z całą surowością w okresie przedwyborczym, by w ten sposób zapewnić porządek, należałoby uzupełnić dodatkiem, aby szczególniej serdecznie zajęły się sądy paskarzami i lichwiarzami, jeśli bowiem tego nie uczynią, ludność wymrze z głodu i nie będzie miał kto głosować, pieniądze zatem, wydane na przygotowania wyborcze, pójdą na marne.

audyencye, o godz. piątej wziął zaś pan minister udział w posiedzeniu sędziów i prokuratorów krakowskiej Apelacyi, w czasie którego wykazał żywe zajęcie się tak losem sądownictwa, jako instytucyi najważniejszej w państwie, jak i jego pracowników, których dola leży mu gorąco na sercu. Wieczorem odbył się na cześć pana ministra w sali Starego Teatru obiad wydany przez gminę miasta Krakowa.

Drugi dzień pobytu poświęcił pan minister konferencyom z prezesem krakowskiej Apelacyi i prezesami Sądów Okręgowych Zachodniej Małopolski, tudzież z prokuratorem przy Sądzie Apelacyjnym dr. Czyszczanem i prokuratorami przy sądach okręgowych. Na konferencyach tych były rozważane sprawy o ścisłem i bezstronnem przestrzeganiu ustaw karnych, zwłaszcza wobec nadchodzącego okresu wyborczego. Popołudniu udzielał pan minister w dalszym ciągu audyencyi, o godz. 5 popołudniu udał się zaś do Uniwersytetu Jagiellońskiego, na posiedzenie Komisyi Kodyfikacyjnej. Na ten cel przeznaczony był również trzeci dzień jego pobytu w Krakowie, t. j. sobota.

W niedzielę rano wybrał się minister Makowski samochodem do Wiśnicza celem zwiedzenia tamtejszego Sądu i Zakładu karnego, po powrocie stamtąd odjechał wieczorem do Warszawy w towarzystwie kierownika Ministerstwa Robót Publicznych Rybczyńskiego, który również w tych dniach bawił w Krakowie. Pobyt pana ministra Makowskiego w Krakowie pozostawił u wszystkich interesowanych jak najlepsze wrażenie, przyczyni się on niezawodnie do zadzierzgnięcia silniejszych węzłów między sądownictwem małopolskiem a władzami centralnemi i usunie widmo zwijania niektórych sądów w Małopolsce, proponowanego ze szkodą miejscowej ludności przez warszawskie czynniki.



Egzotyczni goście we Francyi: Przed odjazdem z Marsylii zwiedza cesarz Anamu pawilon indochiński na Wystawie Kolonialnej.



Egzotyczni goście we Francyi: Następca tronu anamskiego (w środku) w towarzystwie swych rówieśników podczas pobytu we Francyi.

Nowy prezydent Bydgoszczy.

(Do illustracyi na str. 3.)

Piękna 100-tysięczna stolica Nadnotecia, rozkosznie tonąca w powodzi ogrodów, nie miała dotąd szczęścia do swoich prezydentów od czasu gdy tu 20. stycznia 1920 r. weszły wojska armii jen. Muśnickiego.

Pierwszy z nich Maciaszek był zbyt ustępliwym wobec Niemców, czem sobie tak narazil polski ogół, iż musiał w warunkach niezbyt miłych dla siebie rzucać swój posterunek. Jego kolejny następca, Małopolanin Wincenty Łukowski, również długo nie zagrzał miejsca po niewesołych rewelacyach z jego przeszłości.

Po nim przez pięć miesięcy Bydgoszcz była pozbawioną swego podesty. Wreszcie doczekała się i bardzo szczęśliwie, jako, że do trzech razy sztuka. Dnia 1. sierpnia b. r. objął prezydenturę dr. Bernard Śliwiński, wybrany na tę godność przez prawicę Rady miejskiej. Wybór okazał się bardzo trafnym. Elekt jest tęgim prawnikiem, a ostatnio na stanowisku komendanta Policyi Państwowej w Poznaniu wykazał dużo energii i zmysłu organizacyjnego. — Stosunkowo młody, bo liczący wszystkiego 39 lat życia, przebył całą wielką wojnę w nienawistnych sobie szeregach armii niemieckiej, po której klęsce zabrał się do organizowania powstania wielkopolskiego. Trzy razy ranny, walczył o Gostyń, Leszno, Śmigiel, Kołcian i Wolsztyn, stojąc na czele 6. pułku strzelców.

Na czele tego pułku bierze z kolei udział w całej kampanii przeciw-bolszewickiej w składzie 15 dywizyi jen. Junga.

Dziś obaj się spotkali na wspólnym terenie pracy w Bydgoszczy, gdzie jen. Jung jest komendantem placu, a dr. Śliwiński głową miasta. Owo pole pracy przed sobą ma ogromnie wdzięczne. W dawnej „twierdzy hakatyzmu“ tyle jeszcze jest do zrobienia, by ją całkowicie odniemczyć, zwłaszcza, że butni tu wciąż Niemcy (jeszcze ich jest 20%) są stale bardzo uprzywilejowani na każdym kroku. Pozatem zachwaszczona niwa bydgoskiego samorządu oczekuje tęgiej ręki i człowieka o szerokim polocie i widnokręgu, by ją uporządkował. Nowy prezydent ma wszelkie ku temu kwalifikacye. Obrotny, energiczny, dobry mówca, szybko oryentujący się i pozbawiony wszelkiej blagi i pozy, rokuje w tych warunkach jak najlepsze nadzieje tak dla miasta, jak i dla siebie. Są wszystkie szanse, iż polskość Bydgoszczy i jej przyszłość, jako wybitnie przemysłowego miasta, wygrały w osobie dr. Śliwińskiego pikowego asa... *Ignotus.*

Piętnaście lat po maturze.

(Do illustracyi na stronie 4).

Węzły koleżeństwa i przyjaźni zadzierzgnięte na ławie szkolnej, są może po rodzinnych najsil-



W pogoni za dolarami: Spalona chata Chowawki i sąsiednia we wsi Gremiacze pow. Brześć nad Bugiem.

niejsze. Wspólne przeżycia w latach najwrażliwszych pozostawiają po sobie na całe życie nie zacierające się nigdy wspomnienie, które w późniejszych latach stanowi to serdeczne zarzewie ogrzewające i rozświecające zimno i mroki późniejszej doli, gdy człowiek, kierujący się przedtem ideałami walczyć musi z prozą i przeciwnościami, jakie nikogo i nigdy nie oszczędzają. Koledzy z ławy szkolnej, to jak gdyby rodzina, trzymająca się razem aż do chwili ukończenia studyów, później rozprószona po szerokim świecie, skazana na różne przeżycia. Lata nieraz mijają, a ci, którzy byli najbliżsi sobie w wieku młodzieńczym, tracą wzajemny kontakt i niejednokrotnie nie wiedzą zupełnie jaki los spotkał ich najserdeczniejszych druhów, którzy może rzuceni na jego pastwę, potrzebują pomocy a bodaj pociechy i otuchy do wytrwania. Aby bodaj w części usunąć złe skutki podobnego rozprószenia tych, którzy niegdyś tak blisko stali siebie, urządza się co lat kilkanaście zjazdy byłych maturzystów, dziś ludzi zajmujących najrozmaitsze w świecie stanowiska. Po latach kilkunastu a nieraz kilkudziesięciu stykają się ze sobą znowu ci, którzy niegdyś prawie się nie rozłączali, przypominają sobie dawne lata, krzepią się na dalszą pracę życiową wspomnieniami niefrasobliwej przeszłości, kiedy z otuchą i nadzieją w lepszą przyszłość z młodzieńczą werwą i siłą łamało się trudności, torując sobie drogę ku wymarzonemu szczęściu, które potem tak wielu zawiodło. Piękna to i rozrzewniająca uroczystość, gdy po latach, zwykle w tej samej sali szkolnej, którą opuścili, rozchodząc się w różne strony, zgromadzą się dawni uczniowie, dziś już ludzie na stanowiskach, a naprzeciw nich zajmą miejsca ich wychowawcy. Tu i ówdzie świecą puste miejsca na ławach szkolnych, przeznaczone dla tych, którzy dla rozmaitych powodów przybyć nie mogli, lub odeszli już tam skąd się nie wraca. Dzień takiego zjazdu, to moment w życiu każdego z uczestników bardzo podniosły i do końca życia pamiętny.



W pogoni za dolarami: Uwięzieni sprawcy napadu bandyckiego w Gremiaczach (x) i paserzy (xx) przed budynkiem aresztów policyjnych w Brześciu nad Bugiem.



Z żałobnej kroniki krakowskiej: Śp. Witold Junosza Piotrowski, b. II. wiceprezydent m. Krakowa.

W dniu 1. lipca br. odbył się w Krakowie zjazd kolegów, którzy przed 15 laty ukończyli gimnazyum w Podgórzu. Zjazd był niezwykle liczny, gdyż zebrało się ze wszystkich stron Rzeczypospolitej Polskiej 55 dawnych kolegów. Zjazd rozpoczęto nabożeństwem w kościele parafialnym w Podgórzu celebrowanem przez jednego z kolegów proboszcza ks. Kołacza. Podczas nabożeństwa śpiewał chór „Echa" ze współudziałem p. Walewskiego, oraz przygrywała muzyka smyczkowa. Następnie odbyła się w dziedzińcu biblioteki Jagiellońskiej wspólna fotografia, zaś wieczorem wśród niezwykle serdecznego nastroju koleżańskiego i licznych przemówień bankiet w salach hotelu Pollera w czasie którego zebrano na cegiełkę wawelską 30.000 mkp. oraz na żłóbek szpitala św. Ludwika 4,500 mkp. Następny zjazd postanowiono odbyć za 5 lat.

Z byłych maturzystów jest dziś szesnastu urzędnikami różnych dykasteryi, jeden duchowny, 3 lekarzy, 4 adwokatów, 2 oficerów, a reszta zawody wolne, przedsiębiorcy i przemysłowcy.

Zgon króla dziennikarzy.

(Do illustracyi na stronie 4.)

W połowie sierpnia umarł w Londynie w 58 r. życia lord Northcliffe viscount of St. Peter in the Counthy of Kent, którego właściwie nazwisko brzmiało Harmsworth, słynny właściciel i wydawca największych pism londyńskich, mianowicie „Daily Mail" (500.000 egzemplarzy) i „Times" (200.000 egzemplarzy). Swoją karyerę dziennikarską rozpoczął od nabycia przy pomocy pieniędzy swojej żony dziennika „Daily Mail"; który znakomicie zorganizował pod względem redakcyjnym, technicznym i administracyjnym. Pismo to stało się prawdziwą potęgą pod każdym względem, wzorem do naśladowania, instytucyą bez konkurencyi. Lord Northcliffe uczynił później to samo z „Timesem", do którego pozyskał na całym świecie najlepszych korespondentów. W czasie wojny lord Northcliffe odgrywał wybitną rolę. W r. 1917 bawił jako szef misyi politycznej w stanach Zjednoczonych a później był szefem propagandy w krajach nieprzyjacielskich. Po wojnie w czasie rokowań pokojowych bronił z całą energią owoców zwycięstwa koalicyi i na całym froncie występował przeciw Niemcom. Był też w Niemczech serdecznie znienawidzony. W ostatnich czasach występował gwałtownie przeciw polityce Lloyd George'a.

W r. 1904 został on baronetem, a w roku następnym lordem. Przed paru miesiącami odbył dłuższą podróż po Dalekim Wschodzie, skąd wysyłał kapitalne korespondencye do „Timesa". Umarł na atak mózgowy.

Wakacye króla hiszpańskiego.

(Do illustracyi na stronie 4.)

Koronowane głowy urządzają sobie także wakacyjne wywczasy, choć zbytnio się nie męczą przez rok cały.



W pogoni za dolarami: Jedenastoletni Jarmulak zamordowany przez bandytów w Gremiaczach.

Król Alfons XIII. bawi obecnie w słynnych francuskich kąpielach morskich w Deauville. Członkowie dworu madryckiego żyją tam wolni od krępujących przepisów surowej hiszpańskiej etykiety dworskiej. Także król czyni z tej wolności użytek. Toteż, jak donosi paryska „Victoire", rozegrała się niedawno w Deauville wesoła historyjka. Oto wśród dam dworskich, które musiały towarzyszyć parze królewskiej do kąpieli morskich, znajduje się także pewna młoda księżna, znana ze swej surowości obyczajów.

W czasie zabawy na plaży król pozwolił sobie na lekkie uszczypnięcie księżnej w ramię. Młoda arystokratka uczuła się tem dotknięciem królewskiem w najwyższym stopniu obrażona. Udała się ona natychmiast do księcia Sotomayora, byłego wychowawcy królewskiego i pokazała mu obnażone ramię, na którem od uszczypnięcia pozostał siniec. Książę, który wciąż jeszcze posiada znaczny wpływ na swego byłego wychowańca, udał się do króla i oświadczył mu prosto z mostu:

— Najjaśniejszy panie, nie wypada szczypać damy dworu.

Król przyjął to napomnienie milcząco, ale nie wziął go zbytnio do serca, gdy bowiem następnego dnia spotkał księżnę na spacerze, rozegrała się następująca scena. Oto król znów uszczypnął damę dworu, ale tym razem nie w ramię, lecz w to miejsce, gdzie teraz panie noszą pas według najnowszej mody i oświadczył z uśmiechem:

— Teraz, księżno, zechciej pani znów udać się do księcia Sotomayora i pokazać mu, co ci się wydarzyło.



W pogoni za dolarami: Zwłoki stuletniego starca, ofiary napadu bandyckiego w Gremiaczach, który spalił się wraz z swą chatą.

Egzotyczni goście we Francyi.

(Do illustracyi na stronie 9).

Skończył się kilkotygodniowy pobyt cesarza anamskiego, Khaï Dinh, we Francyi dokąd egzotyczny władca przybył celem pozostawienia w Europie na studyach swego najstarszego syna.

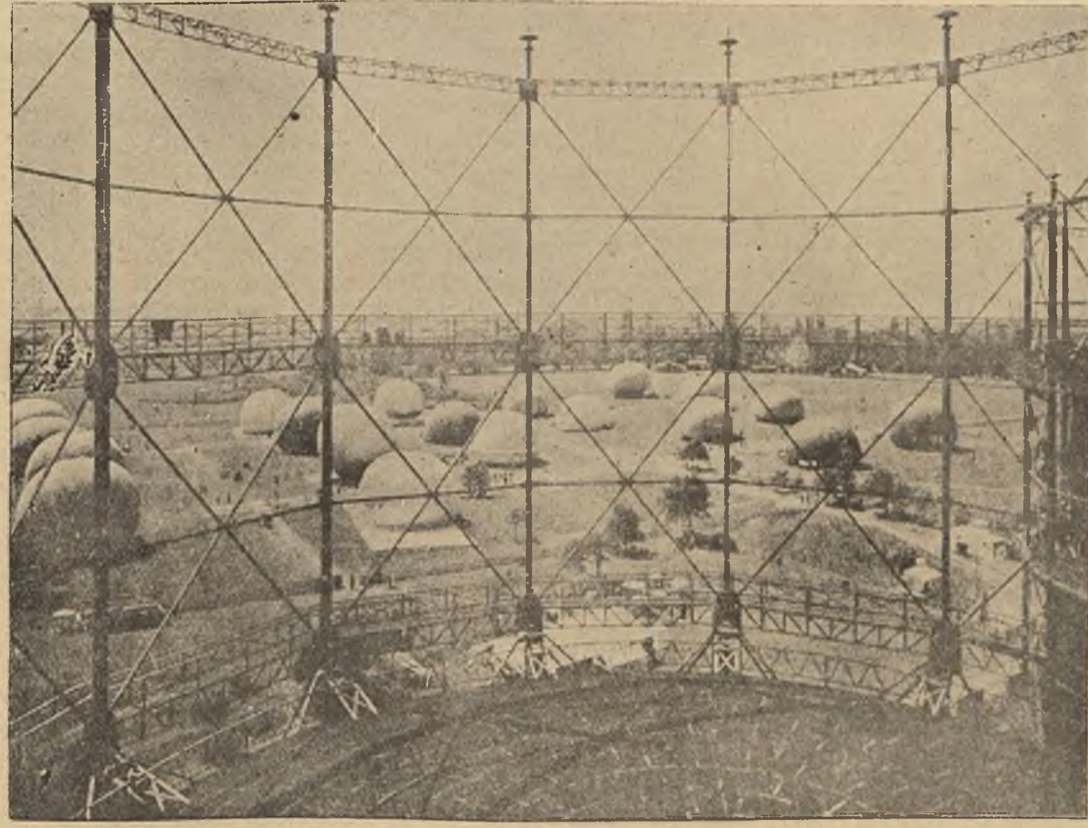
Cesarza anamskiego przyjmowano we Francyi nadzwyczaj serdecznie, aby w ten sposób zyskać sobie przychylność rasy żółtej. Cesarz Khaï Dinh jest właściwie władcą tylko *de nomine, de facto* rządzi w Indochinach Francya przez swego jeneralnego gubernatora.

Cesarz anamski opuścił w dniu 11. sierpnia port marsylski na pokładzie parowca Angers, mającego go odwieźć do jego dalekiej ojczyzny. Przed opuszczeniem brzegów Francyi wysłał cesarz serdeczny telegram pożegnalny do prezydenta Millerand, dziękując serdecznie za gościnę i zapewniając jeszcze raz o swojej wierności sojuszniczej dla Francyi.

Z okazyi pobytu w Marsylii zwiedził władca Anamu jeszcze raz dokładnie Wystawę Kolonialną, budząc ogólne zaciekawienie wśród gości.



Z żałobnej kroniki krakowskiej: Św. Władysław Nowina Borkowski, właściciel i wydawca tygodnika satyrycznego *Dyabeł*.



Z dziedziny aeronautyki: Napełnianie gazem balonów ubiegających się o nagrodę Gordon-Bennetta.



Z dziedziny aeronautyki: Dziewiętnaście balonów, gotowych do odlotu w dniu rozstrzygnięcia konkursu o nagrodę Gordon-Bennetta w Genewie.

W pogoni za dolarami.

(Do illustracyi na stronie 9 i 10).

Powrót naszych emigrantów z Ameryki, przywożących ze sobą bardzo często pokaźne fortuny w dolarach, obudził w sercach różnych ciemnych indywidyów chęć łatwego zbogacenia się cudzym kosztem. Napady bandyckie na posiadaczy dolarów na całym obszarze naszego kraju są na porządku dziennym, rozzuchwalenie rabusiów nie doszło jednak nigdzie takich rozmiarów, jak na kresach wschodnich, zwłaszcza zaś w okolicach niegdyś zostających pod panowaniem rosyjskiem, gdzie warunki bezpieczeństwa były zawsze bardzo opłakane. Nasze władze robią co mogą, aby złemu kres położyć, zbyt ono jednak silnie zakorzeniło się, aby tego można było dokonać w krótkim czasie. Ujemnie wpływa również bezpośrednie sąsiedztwo granicy bolszewickiej, przez którą przekradają się gromady opryszków, siejąc postrach wśród miejscowej ludności.

W początkach czerwca b. r. była wieś Gremiacze, gm. wołczyńskiej, powiatu brzeskiego nad Bugiem, widownią ohydnego napadu bandyckiego na zagrodę tamtejszego włościanina, Pawła Chowawki, który niedawno powrócił z Ameryki i tutaj się zagospodarował. Niewyśledzeni narazie sprawcy napadli nocną porą na jego zagrodę, pomordowali domowników, znęcając się nad niemi w straszny sposób, splądrowali mieszkanie, zabierając najrozmaitsze przedmioty, przywiezione przez Chowawkę z Ameryki oraz znaczniejszą kwotę w dolarach i markach polskich, poczem umknęli, podpalając chatę, aby zatrzeć ślady swej zbrodni.

Sam Chowawko uszedł w ten sposób śmierci, iż krytycznej nocy pilnował w stajni swych koni, zbudzony ze snu łuną pożaru mógł jedynie skonstatować ślady gospodarki rabusiów, udało mu się także wynieść na podwórze zwłoki, w bestyalski sposób zmasakrowane. Śmierć ponieśli: Efimia Chowawkowa, Małanka Jarmulakowa i jedenastoletni Michał Jarmulak. Chowawkowa zginęła od pchnięcia nożem w brzuch, Jarmulakowa otrzymała 11 ran kłutych w szyję i bok, Jarmulakowi poderżnięto gardło i pokaleczono go dotkliwie po całem ciele. Zagroda Chowawki spłonęła doszczętnie, temu samemu losowi uległa i sąsiadująca z nią, a w jej płomieniach znalazł śmierć jej właściciel, starzec przeszło stuletni, Nikita Nielubowicz.

Wdrożone natychmiast przez komendę P. P. w Brześciu dochodzenia zostały na razie bez skutku, w lipcu dopiero, dzięki czujności władz, udało się przytrzymać morderców w osobach Mirona Dorosza i Daniela Tura, których przytrzymano przy sprzedawaniu skradzionych u Chowawki przedmiotów. Pochodzą oni z oddalonej o cztery wiorsty wsi Świtycze. Początkowo wypierali się winny, przyparci do muru przyznali się jednak do spełnienia zbrodni i wskazali wspólników Trosima i Gerasima Daroszów oraz Jana Kuleszę. Zachodzi podejrzenie, że są oni członkami byłej słynnej bandy atamana Czorta.

Od morderców odebrano skradzione przedmioty jak również gotówkę w kwocie dwustu dwudziestu dolarów i czterysta cztery tysięcy marek polskich, które zakopane były w butelkach, a przeznaczone na zaopatrzenie się nowoorganizującej się szajki w broń palną. Wpadły również w ręce władz bezpieczeństwa noże, długości bagnetu, którymi dokonano morderstwa na rodzinie i domownikach Chowawki.

Ujęcie tej bandy, która rozpoczynała dopiero swe niecne praktyki, jest zasługą komendy P. P. w Brześciu nad Bugiem, na czele której stoi Krakowianin, emerytowany major W. P. L. Pinkas.

Z dziedziny aeronautyki.

Najstarsze z pomiędzy statków napowietrznych, balony kuliste o miękkiej powłoce, choć dziś z powodu swej niepraktyczności należące już do przeżytków sportowych, nie poszły jednak w zapomnienie. Ich zasługą, że dzisiaj aeronautyka stoi tak wysoko, zdobywcy powietrza dawne prymitywne balony Montgolfiera ulepszali coraz bardziej i starali się zastąpić je praktyczniejszymi wynalazkami, bardziej odpowiadającymi celowi.

Od chwili wynalezienia aeroplanu, balon kulisty zeszedł zupełnie na drugi plan, nawet jego ulepszenie, balon do sterowania o twardej powłoce, nie może wytrzymać porównania z samolotem, który pobił go na całej linii.

Corocznie przypominają się balony kuliste pamięci sportowców z okazyi odbywającego się konkursu Gordon—Bennetta o nagrodę honorową, którą stanowi puhar. Otrzymuje go zwycięski balon, który wskazaną przestrzeń przebędzie w najkrótszym czasie i w najlepszym stanie. Jest to nagroda

wędrowna, przyznana definitywnie temu narodowi, który w trzech po sobie następujących latach uzyska pierwszeństwo.

Tegoroczne zawody o nagrodę Gordon - Bennetta, jedenaste z rzędu od czasu jej ufundowania, odbyły się w Genewie wobec tłumów ciekawych. Do konkursu stanęło dziewiętnaście balonów reprezentujących wszystkie prawie oddające się sportowi narody, nie wykluczając oczywiście i Amerykanów.

Napełnienie i wzlot balonów odbyły się w parku de Châtelaine w obecności reprezentanta rządu związkowego szwajcarskiego Haaba i około pięćdziesięciu tysięcy widzów, śledzących z zaciekawieniem przygotowania i moment odlotu. Balony skierowały się w stronę granicy austryackiej i po chwili znikły w przestworzu. Sprawozdawcy podnoszą wyekwipowanie zwłaszcza balonów amerykańskich, które zabrały ze sobą w drogę żywność na sześć dni, futra i broń, również włoskie nie zapomniały o sztyletach i rewolwerach.

Z żałobnej kroniki krakowkiej

W ubiegłym tygodniu pożegnały Kraków na wieki dwie osobistości, znane dobrze mieszkańcom naszego miasta.

Jedną z nich to ś. p, Witold Junosza Piotrowski, były drugi wiceprzydent miasta Krakowa, Krakowianin z krwi i kości, gorąco kochający swój gród rodzinny i żywo interesujący się jego przeszłością, obecnymi losami i przyszłością.

Był to człowiek cichego i szlachetnego serca, gorący patryota i uzdolniony a sumienny urzędnik, który cały szereg lat spędził na służbie grodu podwawelskiego.

Urodzony w roku 1842 w Krakowie, tutaj ukończył gimnazyum św. Anny, a następnie wydział prawny Uniwersytetu Jagiellońskiego, poczem poświęcił się karyerze urzędniczej, w krakowskim magistracie, gdzie doprowadził do stanowiska naczelnika Akcyzy miejskiej, a następnie drugiego wiceprezydenta miasta Krakowa, wówczas najwyższego szczebla miejskiej hierarchi urzędniczej. Na tych stanowiskach rozwinął bardzo owocną działalność tak dla miasta, jak i dla podwładnych urzędników, dla których był zawsze wzorem w spełnianiu obowiązków, ale też i gorącym poplecznikiem ich interesów. Po przejściu na emeryturę osiadł w swym malowniczym dworku przy ul. Smoleńskiej, w jednej z najsympatyczniejszych budowli, przypominającej nam stary Kraków; tutaj jako zgrzybiały starzec cieszył się odrodzeniem Polski, nad którem już przed sześćdziesięciu laty gorąco pracował, wprawdzie nie z bronią w ręku, gdyż na to słabe jego zdrowie nie pozwalało. W tej odziedziczonej po przodkach siedzibie zakończył swój zasłużony żywot na rękach gorąco kochającej go żony, która z prawdziwie samarytańskiem poświęceniem pielęgnowała go, w ostatnich latach ciężką złożonego niemocą.

Znanym również dobrze Krakowianom był śp. Władysław Nowina Borkowski, właściciel i wydawca satyryczno-humorystycznego tygodnika „Dyabeł“, wychodzącego w Krakowie z górą lat pięćdziesiąt.

Wprawdzie z pochodzenia nie Krakowianin, osiadły jednak między nami prawie od lat trzydziestu, z krakowskiem społeczeństwem żył się i gorąco je pokochał.

„Dyabeł“, założony w Krakowie w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, w czasach dla życia naszego narodowego najcięższych, stał się odrazu organem krakowskiego mieszczaństwa, które z niecierpliwością oczekiwało pojawienia się każdego numeru. Nikogo nie żałował, przedewszystkiem zaś Stańczyków, gryzł, ale sercem, wytykając społeczeństwu naszemu jego wady i błędy. Koło ówczesnej redakcyi zebrały się najlepsze nasze i najbardziej cięte pióra i ołówki, każdy numer, to jedna z kart dziejów ówczesnego Krakowa.

Ostatnim z redaktorów, za których „Dyabeł“ cieszył się zasłużoną popularnością, był dobrze nam starszym znany ś p. Emil Borkowski. Z jego śmiercią i pismo poczęło coraz bardziej upadać, wreszcie przestało zupełnie wychodzić.

Wydawnictwo objął ś. p. Władysław Borkowski i prawdziwie mrówczą swą pracą i zapobiegliwością potrafił staremu „Dyabłowi“ przywrócić bodaj część dawnej popularności. A praca to była trudna, trzeba było przezwyciężać liczne przeszkody i liczyć tylko na własne siły, wierny bowiem dawnym zasadom, nie służył „Dyabeł“ nigdy prywatnym celom, jedynie interes ogółu mając na oku W tych warunkach wydawanie „Dyabła“ było ciężkie, ś. p. Władysław Borkowski podołał mu jednak, rozwijając niezrównany zmysł administracyjny, dzień cały i wszystkie swe siły oddając dla pisma.

Widziało się go o każdej porze z nieodstępną teczką pod pachą, nie wstydził się bowiem sam po ajencyach roznosić egzemplarze swego wydawnictwa.

Zmarł prawie nagle, w sile męzkiego wieku, liczył bowiem w chwili zgonu pięćdziesiąt dwa lat życia, po ciężkiej operacyi ślepej kiszki. Nie chciało się po prostu wierzyć, że ten człowiek, którego jeszcze wczoraj widzieliśmy nwijającego się po mieście — dziś nie należy już do naszego grona.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego